Nr. 9. Lwów, dnia 1. Września 1892. Rok XV.



PRENUMERATA ROCZNA: marek 5 złr., 5 rs. 12 franków. | ORGAN GAL. TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO. | WYCHODZI z początkiem każdego miesiąca.

Z ŁOWIECKIEJ PRZESZŁOŚCI

napisał

Władysław Spausta.

VI.

Bóbr.

W przeszłości zamierzchłej — jeśli ją mamy określać wedle czasu naszej rachuby — a niedawno temu, mówiąc językiem geologii, bo u schyłku trzeciorzędnej epoki, nastąpiły wielkie zmiany w rozdziale lądów i mórz, właśnie na owym płacie kuli ziemskiej, który nas najwięcej zajmuje. Morze, rozlewające się aż po miejsce, gdzie dziś Wiedeń, pokrywało wielką część Węgier, niziny półwyspu bałkańskiego aż po wybrzeża morza Egejskiego, na północ zaś sięgały wody stoków naszych Karpat, a przez kraje, należące obecnie do południowej Rosyi, łaczyły się z dzisiejszem morzem Czarnem, z morzem Kaspijskiem i z jeziorem Azowskiem, sięgając daleko w głąb Azyi. Z powodów niezupełnie dotąd znanych, cofnęły się raptem owe wody, a pozostawiając na tym pasie kraju liczne ślady swej bytności w jeziorach, nie mających żadnego do morza odpływu, odkryły ogromnych rozmiarów dna morskie, nad którymi niebawem rozciągnęły swe panowanie najświetniejsze okazy ówczesnej fauny.

Ogromne stada zbliżonych do koni hipoteriów przebiegają bujne stepy, rozmaite gatunki antylop, to znów rodzaje jeleniowatych znajdują tu przyrodzie swej odpowiedne miejsca, żyrafy spacerują wśród gajów, na dnie morskiem urosłych, olbrzymie dinotheria, mostodonty, straszne drapieżce, jak *Machairodus*, istny potwór z zębami jak sztylety, jakiś dzik straszny wielkości wołu *(Sus erymanthius)* żerują wspólnie z tapirem i nosorożcem w błotnistych ługach, a na brzegach zlewisk nie brak i bobra (*Castor fiber)*. Zakłada on tu już swą republikę, znaczy swą obecność na drzewach, których korony są siedliskiem małp *(Mesopithecus)*, wieszających się zgrabnie na ich gałęziach.

O ile sięgają dzisiejsze badania, ów bóbr z tak zwanego w geologii „ponckiego okresu“, to najdawniejszy pomnik bobra europejskiego, a wspólnie z południowo-amerykańskim kapibarą *(Hydrochoerus capibara)*, to największe gryzonie obecnej chwili, których rody coraz to drobnieją w biegu wieków, podczas gdy w dawniejszych okresach epoki trzeciorzędnej (w oligocenie) miały tak potwornych przedstawicieli, jakim jest znany w paleontologii *Megamys patagoniensis*, gryzoń dwa razy tak wielki, jak tapir.

Jakie spustoszenia musiał wyrządzać tak kolosalnej wielkości gryzoń w ówczesnej wegetacyi, możemy mieć o tem niejakie wyobrażenie żyjąc w czasach, kiedy ten stosunkowo mały jego pobratymiec daje nam próbki, co może zdziałać owe napozór skromne uzębienie, które zoologia w wzorze $\frac{1.0.4}{1.0.4} = 20$ przedstawia. Nie potrzebaby do naszych lasów już i łupiezkiej kupieckiej siekiery, gdyby ów *Megamys* tak licznie jak bóbr niegdyś zamieszkiwał nasze kraje, i gdyby jego zwyczaje były jemu podobne.

Mijały geologiczne wieki, znacząc swe ślady na skorupie globu, a na tym pasku ziemi, na którym jakby wczoraj kazały losy osiąść naszemu plemieniu, rozgrywały się wspaniałe epizody w dramacie dziejów geologicznych, z których najbliższym nas i dlatego najlepiej rozpoznanym jest okres dyluwialny, którego zmiennych kolei w przeważnej części był już świadkiem pierwotny mieszkaniec Europy. Występowały tu kolejno najrozmaitszych kształtów zwierzęta i złożyły swe kości w pokładach geologicznych. Olbrzymie ciała mamutów ugrzęzły gdzieś w tundrach Sybiru, skąd je już prawie w naszych czasach wydobyły psy krajowców, a dzięki lodom północy, ciała te były tak dobrze zakonserwowane, iż możemy dokładnie zapoznać się z tym olbrzymem, stanowiącym ongi niełatwą pewnie zdobycz łowiecką naszych przodków; przeminęła z czasem fauna polarna, nawiedzająca Europę środkową wśród okresu lodowego, wycofały się lub wyginęły zwolna zwierzęta stepowe, a wśród tego wszystkiego, jako epigon z epoki trzeciorzędnej, jako współczesny dawno już wymarłych gatunków, przetrwał bóbr. Snać nie brakło mu nigdy warunków życia i niewybrednej żywności, musiał mieć zawsze podostatkiem wierzb, topol, osik, olch, wiązów, dębów, klonów, których korą i miękiszem się żywił.

Szkielety bobrów, a raczej części tychże, które mi się zdarzyło widzieć, wskazują, iż bóbr dyluwialny był znacznie większy od obecnie żyjących; widać, że i ten zwierz podlegał ogólnemu niemal prawu karlenia i drobniał, jak wiele innych zwierząt dzikich, gdy człowiek podbojowo wkroczył w niezakłucone niczem dotąd dziedziny przyrody i zagarnął część jej darów dla siebie i zwierząt domowych, u których wręcz przeciwny objaw potężnienia i rozrostu ma miejsce.

Od chwili, gdy z nieudolnego roślinożercy, w którym to stanie zupełnie pierwiastkowym prawdopodobnie plemię ludzkie Europy nie zamieszkiwało, wyłonił się pierwszy rybak lub łowiec, musiał on wnet uwagę swą zwrócić i na bobra, na to zwierzę, które wobec szczupłych środków łowieckich tamtych epok jeszcze najłatwiej można było dostać. To też, jak daleko sięgają ślady mieszkańca dyluwialnej epoki, przemawia wszystko za tem, iż w czasach przedhistorycznych służył bóbr za pożywienie ówczesnym ludziom. We Francyi, w Niemczech, w Danii, w Anglii, w Szwajcaryi, gdzie poszukiwania za śladami przedhistorycznego człowieka na wielką w ostatnich czasach przeprowadzono skalę, i gdzie niemal dzień każdy wykrywa nowsze szczegóły z życia troglodytów, lub mieszkańców budowli nawodnych, w bardzo wielu grotach, będących zarazem długowiecznem mieszkaniem pokoleń ludzkich, znaleziono wśród najrozmaitszych przedmiotów ówczesnego przemysłu ludzkiego, także i szczątki bobra wraz z resztkami innych zwierząt, które ówczesny człowiek dla wyżywienia się łowił. Jeżeli w innych siedliskach troglodytów, jak n. p. na naszej ziemi, w jaskiniach Ojcowskich, w Okopach, w grocie mamutowej pod Krakowem i w innych nie odkryto specyalnie szczątków bobra, nie dowodzi to bynajmniej, iż nie był on tu przedmiotem łowów, bo z tych okruchów, z jakich tylko głęboka wiedza i mrówcza praca odbudować zdołała kontury epok przedhistorycznych i rzucić niejakie światło na zamierzchłą przeszłość naszego plemienia, nie zawsze da się odszukać to wszystko, co się kiedyś w tych miejscach znajdowało. Nim łopata ciekawego badacza naszych czasów dotknęła okładki tych ciekawych a prastarych dziejów, już wiele kształtów organicznych nie istniało, a składniki ich powróciły w odwieczny obieg tworzywa, inne zaś szczątki ciężar wieków zmienił o tyle, że już tylko ich pochodzenie organiczne da się rozpoznać. A są to nieraz imponujące pokłady, w których spoczywają resztki kroci najrozmaitszych, wysoko uorganizowanych zwierząt lub resztki ludzi, wszystko to zbite w jedną masę i związane cementem wieków w jedną „brekcyę“ kościaną. Szczególnym tylko warunkom, w jakich nieraz szczątki te się znajdowały, zawdzięczamy tę szczupłą ilość wiedzy w tym kierunku, jaką obecnie posiadamy; jest ona jednak olbrzymią w porównaniu do czasu, odkąd poczęto na seryo zajmować się tym ważnym dla ludzkości przedmiotem, i w porównaniu do efemerycznego życia, do okamgnienia, które zakreśliły naszej istocie nieubłagane wyroki.

Trudnemby było wyliczać, gdzie wszędzie znaleziono ślady bobra wśród siedlisk ludzkich, dorywczo zatem naprowadzam tu niektóre fakta tego rodzaju, malujące dostatecznie znaczenie, jakie łowiectwo bobrów po wszystkie czasy miało dla ludzkości. Szczątki bobra znaleziono w dyluwium groty Balve i Kluzenheim w Westfalii (Nehring), w grocie Hösch we Frankonii, w grocie zbójeckiej koło Regensburga, wśród resztek człowieka i ówczesnej krzemiennej kultury; w aluwialnym piasku koło Monasteru, gdzie obok szczątków ludzkich i pośród dyorytowych narzędzi i broni, znalazła się i czaszka bobra, róg rena i resztki tura (Hosius *Beiträge*). W budowlach nawodnych na Roseninsel w Bawaryi obok tura, rena i bóbr dał się sprawdzić (Struckmann, *Verbreitung des Renthieres* 1880). W nowszych budowlach nawodnych występuje bóbr bardzo często, a osobliwie w tych, które sięgają epoki bronzowej, niemniej w tak zw. odpadkach kuchennych w Danii.

Niepodobna wyrzec coś pewnego o sposobach przedhistorycznych łowów na bobra, z tego jednak, co obecnie jeszcze u czerwonoskórych Indyan dostrzegamy, i wobec niemal powszechnej analogii w sposobach łowów początkowych, możemy domyślać się, iż łowy bobrowe przeprowadzał troglodyta Europy w ten sam sposób, w jaki to czynią jeszcze po dziś dzień resztki rasy czerwonoskórej na resztkach kolonij bobrowych wśród dzikich puszcz nad rzeką św. Wawrzyńca. Do łowów tych niepotrzeba niczego więcej, jak chytrości dzikiego człowieka, kilku drągów i sporej dozy drapieżności, a całe gromady tych biednych gryzoniów stają się łupem kompanii łowieckiej, która, zamknąwszy sprytnie biedne bobry w ich zamkach, następnie do nogi pałką je wybija. Później, gdy mieszkaniec Europy posiadał już udomowione zwierzęta, a przedewszystkiem psa, stworzenie to znakomite mu i w łowach bobrowych musiało oddawać usługi. Ślady tego zachowały się jeszcze w prastarem naszem wyrazownictwie łowieckiem (bobrować), a u obcych narodów znajdują się wskazówki, iż osobny gatunek psów dla łowów bobrowych utrzymywano. *Leges Bajuvariorum* odróżniają niezawodnie jako zabytki bardzo odległej przeszłości: *canis, qui sub terra venatur*, *Biberhund*, także *canis bersarius, beverarius*, *bibracco*, *castorius*.

Jeżeli bóbr nie zaginął jeszcze w przedhistorycznych czasach, to chyba dlatego, iż zamieszkiwał wówczas nadzwyczaj obficie kraje środkowej Europy, w każdym razie nie silnie zaludnione. Tylko w ten sposób da się wytłumaczyć

fakt, iż późne już dzieje zastają go w całej ówcześnie znanej Europie, a obecnie sięgają jego siedliska na całej kuli ziemskiej od 33—68° szer. geogr., chociaż w wielkiej części są to tylko resztki bobra, wiodącego aż do kresów swego przeznaczenia skryty i pustelniczy żywot.

Narody klasycznej starożytności znały bobra, jakkolwiek w krajach tych ustępował on szybko wobec coraz gęstszego zaludnienia i kultury. Natomiast na północy, gdzie około 2000 lat temu rozpoczął rozszerzać oręż rzymski granice swego imperium, utrzymywał się bóbr jeszcze długo, aż wreszcie ginął kolejno, od wysp brytyjskich począwszy ku wschodowi. W Niemczech, w pojedyńczych miejscowościach, utrzymał się aż do naszych czasów. U nas całe republiki bobrów istniały jeszcze tu i owdzie u schyłku zeszłego stulecia, jako świadectwa przeszłości tej ziemi, o której pisarze IX. wieku mówią: „Za jedyne miasta warowne były tam błota, najpożądańszą obroną bór“.

Jak bóbr w swych „gonach“ (gniazdach, osadach), tak Słowianin, „utajony na wyspie błotnej albo w głębi odwiecznych lasów“, pędził życie samotne; dopiero czasy tłumnego później zaludnienia i najazdu kraju przez cudzoziemców, znachodziły ścieżkę do jego ulubionej samotni (Szajnocha, „Lechicki początek Polski“ 311). Ciągnące puszczami wojsko nieprzyjacielskie odkrywało niespodziewanie całe krainy osad ludzkich, wśród lasów i trzęsawisk, których dotąd nie znano w świecie (Helmold, *Chronica*).

Pośród takiej ludności, której zalet etycznych nie mogą się dość nachwalić pisarze współcześni, wśród prostaczych umysłów tych gmin patryarchalnych, zamieszkiwał wspólnie z człowiekiem bóbr podmokłe puszcze, i prawdopodobnie od wieków pozostawał pod pewnym rodzajem opieki człowieka, jak to bywało i później, gdy w miejsce patryarchalnych rządów gmin urosła pod grozą napadów nieprzyjacielskich władza hetmańska, książęca czy też w ogóle monarchiczna, z którą związane było pojęcie własności ziemi. Książęta i królowie strzegę „żeremi“ bobrowych niezawodnie na wzór gmin kmiecych, które, poznawszy całą donioslość pobytu bobra wśród ziem zbiorowej własności, otaczać go musiały pewnym rodzajem opieki. W ten tylko sposób da się zrozumieć owa troskliwa opieka nad żeremiami bobrowymi w samych zaczątkach rządów książąt, owa bezustanna pamięć w licznych dokumentach, gdy monarchowie jako właściciele ziemi nagradzali prywatnych ziemią, w których się żeremia bobrów znajdowały. Tak było w epoce Piastowskiej w Polsce, na Mazowszu i na Szląsku, i jakkolwiek w ustawodawstwach wieku XIII., niemniej później w statutach Kazimierza Wielkiego, ludność swobodna posiadała ziemie na własność dziedziczną, nieswobodna zaś dziedziczne użytkowanie (Pilat, Stosunki agrarne), a niewoli w właściwem tego słowa znaczeniu nie było, to jednak dawne, bo czasów Chrobrego sięgające prawa korony, *officium regium sive terrestre* (Miechowita 113) *vexilla regia sive terrestria* (Długosz 1124), czy też *jura regalia* warowały panującym „ptaki w powietrzu i zwierza w lasach“, *cum feris et ferarum venationibus* (Cod. Siles. dipl. spec. I. 818). Osobne prawo leśne za Mieczysława III. w r. 1196 zastrzega łowy wyłącznie dla monarchy (Narusz., Hist. Pol., 245), a przedtem znajdujemy wyraźnie w dziejach naszych świadectwa, iż od czasów Bolesława Chrobrego myśliwstwo i żeremia bobrowe wyłączną były własnością i przywilejem korony.

Pomijam tu wiele ciekawych z czasów Piastowskich dokumentów, z których można powziąć niejakie wyobrażenie o stanie ówczesnego bobrownictwa polskiego, a pomijam, nie chcąc rzeczy powtarzać, gdyż jeszcze w r. 1881 w *Łowcu* autor monografii bobra, a później w r. 1885 autor „Przyczynku do historyi łowiectwa w Polsce“ podali w treściwem zestawieniu niemal wszystko, co się mozolnie dało w tej mierze uzbierać; tem więcej zato zostaje mi miejsca do omawiania powodów, dla których ten tak gromadnie ziemię naszą zamieszkujący zwierz tak raptownej uległ zatracie.

Nie godzę się ze zdaniem, jakoby kiedykolwiek można było powiedzieć o bobrach naszych, iż były to zwierzęta na pół domowe, nawet o owych słynnych bobrowniach książąt mazowieckich, gdzie odróżniano pojedyncze żeremia według maści futra. Jedynie zapoznanie się dokładne z trybem życia bobra, możliwość łatwa policzenia, i wielkie znaczenie ekonomiczne bobrowych gonów w czasach, gdy innych ważniejszych nie było dochodów, wyrobiły od wieków, jak to już wspominałem, pewien rodzaj opieki nad bobrami, jakiej nie zbywało i innym zwierzętom puszczy, a których jeszcze dlatego nie można przecież zaliczyć do zwierząt półdomowych. Że zaś mówiono u nas o łowieniu bobrów a nie o polowaniu na nie, to przypominam, iż różnic tych nie robiono li tylko tutaj, bo zwano łowieniem głównie chwytanie ryb byle jakim sposobem, lecz mianem tem zwano także obowiązkowe, przez poddanych wykonywane łowiectwo zwierząt, które nie były przedmiotem łowiectwa książąt i panów. Łowiectwo bobrowe, według wyobrażenia owych czasów, w których bobra uważano za coś tak do ryby zbliżonego, iż kościół pozwalał pożywania mięsa bobrowego w dnie postne, miało zatem dwa powody do tego, aby módz mówić o „łowieniu“ a nie o „polowaniu lub o łowach“ na bobry.

Właśnie tak szybka zatrata bobrów na naszej ziemi udowadnia, iż nie były one nigdy zwierzętami na pół domowymi, lecz jako dzikie i tylko wypadkiem losu na jakimś kawałku ziemi osiedlone, prosperowały dopóty, dopóki ich strzegły drakońskie owych wieków prawa, a ginęły raptem, gdy samowola, moda i chciwość zysku nie znajdowały hamulca na długo przedtem, nim poważniejsze już stosunki ekonomiczne kraju wyparowały, bo wyparować musiały, bobra z jego siedlisk.

Zdaje się, iż przesiedlanie gonów bobrowych w miejsca, gdzie ich dotąd nie było, było również w niektórych okolicach znane i praktykowane, jakkolwiek na pewno tego twierdzić nie można, gdyż dość szczupłe wiadomości o rozmnoży bobrów na miejscach nowych dotyczą zwierzyńcowej hodowli sztucznej, już w późniejszych epokach panowania królów elekcyjnych, kiedy bóbr w stanie natury coraz rzadszym się stawał.

We wszystkich dokumentach z czasów Piastowskich i pierwszych Jagiellonów jest zawsze tylko mowa o istniejących już gonach, tak samo jak o innym zwierzu w puszczy znajdują się wzmianki, jednak niema tam ani słowa o nowych żeremiach, któreby bądź to administracya łowiecka monarchy bądź kto inny zakładał; dopiero w nieco późniejszych przywilejach Kazimierza i Alexandra Jagiellończyków znajdują się wiewyraźne wskazówki, iż coś podobnego mogło mieć miejsce i znanem było w praktyce.

Bobrownictwo, jako znaczna gałęź dochodowa korony, gubi się w zmierzchu naszych dziejów. Już na dworze Bolesława Chrobrego spotykamy takie w tym względzie urządzenia, które wskazują, iż coś podobnego odrazu powstać nie mogło. Są tam już organizowane urzędy bobrownicze, straż t. z. *castorearii*, a skórki, przez kronikarzy *aspergilia* zwane, pozyskują się wyłącznie na rzecz księcia.

„O lekką przyczynę, jako o zabicie niedźwiedzia, jelenia, albo o pojmanie sarny, złupieniem dóbr ludzi karał, gdyż wówczas samemu tylko księciu na wszystkiem w Pol-

sce łowy służyły“ powiada Kromer o Mieczysławie starym (tłum. Błaż. 320).

To specyalne zajęcie się gonami bobrowymi, ta czujna straż, jaką w tym celu utrzymywano, wskazują z jednej strony, jak wielkiej wagi były żeremia bobrowe dla właściciela ziemi w czasach, w których jeszcze zbyt szczupłą była eksploatacya ziemi w innym kierunku, z drugiej zaś każą się domyślać, iż mimo drakońskich praw, mimo barbarzyńskiego wymiaru kar za nielegalne łowy, dziać się musiały już wtenczas nadużycia, i że nie każda skórka dostawała się temu, kto do niej wyłączne rościł prawo, tem bardziej, że cały bóbr ze swem futrem, mięsem, ogonem i strojem był zdobyczą nadzwyczaj łakomą i silnie poszukiwaną, tem silniej iż stanowił monopol korony, przedmiot użyteczny, według ówczesnych wyobrażeń zbawienny dla zdrowia a zakazany. Łączyły się zatem tu wszystkie możliwe smaki, i czujną musiała być straż bobrownicza.

Krom tego poddany, na którym i tak ciężył cały kram najrozmaitszych obowiązków łowieckich, nękany w rozmaity sposób przez tych, którzy z ślepem posłuszeństwem wykonywali przesadnie dane im polecenia, odczuwał jeszcze dawne czasy kmiecej wolności, tęsknił za rajem patryarchalnych rządów gminy; być może zatem, że tliła tam i nienawiść ku istniejącemu stanowi rzeczy, a nienawiść ta nie wychodziła zawsze na korzyść gonów bobrowych, których strzedz i pilnować na rzecz kogoś innego miał surowy obowiązek. Być może, iż ujarzmiony ciężarami ze wszystkich stron człowiek, nie miał już chyba zbyt wiele do stracenia, dlatego obojętną mu już była i sroga nawet kara, jakiej za przestępstwa łowieckie mógł się spodziewać. Człowiek dzisiejszy nie jest częstokroć w stanie zrozumieć owego katalogu przeróżnych wyderkafów, jakimi obarczonym był ten tak zwany poddany, osobliwie na Mazowszu, gdzie rozpanoszenie i despotyzm rozrodzonych Piastów doszedł był do szczytu. Oto jeden z takich wspaniałych aktów ówczesnej łaski monarszej, przywilej dla miasteczka Szreńska: Ziemowit książe mazowiecki i kujawski w 1383 uwalnia wieczyście mieszkańców a sep, obracz, naczas, a porco, vacca et ariete, a posziewne, przewoz, godne, pańskie, sronowe, podimne, bobrowe, psarskie, sokołowe...

Przewaga jednostek lub panowanie rodzin dążących do wyłącznego posiadania ziemi, na czem się idea jedynowładztwa opierała, nie mógł się na długo ostać, nie wytworzywszy obok siebie silnej a przychylnej swoim celom falangi z tych, których stanowisko i osobiste przymioty wynosiły po nad zwykły poziom ogółu. Pierwsi, z którymi się trzeba było połączyć, i zasilić nierozerwany węzeł władzy, byli to dostojnicy kościoła. To też jak z worka sypią się rozmaite przywileje na duchowieństwo za Piastów, książęta wyrzekają się w wielu wypadkach swego *jus ducale* na rzecz dostojników kościoła, osadnicy na gruntach oddanych nic panującym robić nie mają, są wolni wobec panującego, a obdarzonym przysługuje wszystko „*quae supra terram et sub terra esse poterant*“, zatem księciu nie służy na tych ziemiach już i prawo polowania.

Podczas gdy szczególniejszych dostojników przywileje idą tak daleko, zwłaszcza iż w Polsce wykonuje panujący długie jeszcze czasy bo do XIII w. prawo inwestytury, obsadzając stolice biskupie przychylnymi sobie osobami (Lisiewicz. O obsadzeniu stolic biskup. Przew. nauk. 1891, 705.) ograniczają się inne so niższego duchowieństwa i mnichów klasztornych, jednak w wielu bardzo wypadkach odstępują monarchowie żeremia bobrowe na rzecz uprzywilejowanych (Lelewel Polsk. w. śr. cz. I. pag. 130, 137; Muczkowski *Codex dipl.* 1176). Dobra stolic biskupich coraz to większe zajmowały obszary, nie było w nich żadnych dla korony ciężarów, a co najważniejsza, iż duchowni dostojnicy razem z dobrami nabywali i prawo sądownictwa nad swymi ludźmi. Częstokroć chwilowa gwałtowność książąt stanowiła powód do nadawania bardzo szerokich swobód w dobrach duchownych, a książe Konrad mazowiecki w 1231 grubo opłacić musiał swą chwilową porywczość ustępstwami na rzecz biskupstwa płockiego, które się później rozciągnęły na cały kler mazowiecki.

Wobec ciągłych zmian, dodatków, licznych kontrowersyj, jakie się znajdują w pojedynczych przywilejach duchowieństwa, trudno wyrzec stanowczo, gdzie i kiedy gony bobrowe przeszły na zupełną własność uprzywilejowanych, jednak przypuścić trzeba, iż ci, którzy się pozbywali tylu ważnych praw swoich, zrzekać się musieli i tych praw swoich, do których już po nadaniu dóbr jeszcze gdzieniegdzie rościli sobie pretensyę. Zmiany te musiały koniecznie wpłynąć już w XIII. wieku na stan bobrownictwa, ustała jednolita administracya książęca, a surowe prawa świeckie zastąpiły w wielu miejscowościach i na bardzo wielkich obszarach łagodne, gdy chodziło o karanie przestępstw myśliwskich, prawa duchowne. Skórka bobrowa i strój, szuby, czapki i apteczki klasztorne, obok rozluźnionego sądownictwa, prędko mogły przyczynić się do przetrzebienia gonów bobrowych w dobrach duchownych.

Jaka to tam mogła być gospodarka w tych ogromnych dobrach, którymi tak hojnie szafowali Piastowie aż do czasów Kazimierza Wielkiego, można mieć łatwe o tem pojęcie. Nieraz klasztor lub inna korporacya duchowna w Wielkopolsce posiadała swe dobra na Kujawach lub w Małopolsce i przeciwnie, dobra te musiano wydzierzawiać, chcąc jaki taki mieć z nich dochód, a co się tam wtedy działo z gonami bobrowymi, łatwo sobie wyobrazić. Wiele dóbr w ten sposób wydzierzawionych przeszło raz na zawsze na własność prywatną, granice się z czasem zacierały, a długie procesy po wiekowem zaniedbaniu nie zawsze zdołały wprowadzić napowrót w posiadanie pierwotnych właścicieli.

Stosunki podobne zdołały w krótkim czasie zniszczyć, co długie utrzymywały wieki, żeremia bobrowe po latach opieki kmiecej, z pod srogiej administracyi książęcej, stały się wreszcie ofiarą najrozmaitszych nadużyć i zniszczenia nie oglądającego się na przyszłość. — Potrzeba bądź to ubezpieczenia się na zajmowanym stanowisku, gdy ingerencya Rzymu coraz to silniejszą się stawała i dostojnicy odwróciwszy się od swych książąt coraz to częściej oczy swe ku metropoli chrześciańskiego zwracali świata, bądź to konieczność odpierania zewnętrznych nieprzyjaciół, powodowała coraz to nowe przywileje stanów świeckich, coraz to dalsze obdarzanie członków drużyn dobrami ziemskimi, do których z początku wyjątkowo a później *de regula* przywiązywano prawa łowieckie.

Nie tu miejsce, aby przytaczać przykłady przechodzenia ogromnych pierwotnie dóbr koronnych w ręce prywatne; nawiasowo więc tylko nadmienię, że już w połowie XI. wieku mamy tego przykłady, a Bolesław Śmiały (Mateusz i Boguchwał) obdarzać miał poddanych własnością gruntową. Bolesław Krzywousty w 1137 obszernymi obdarza dobrami *hominem obscuro glute ortum* i na rycerza pasuje (Kadłub. III. 139), a później coraz to raptowniej przechodzą dobra królewskie na własność prywatną, i z nadaniami łączą się często tak daleko idące przywileje i prawa, iż w istniejącem państwie wytwarzały się niby coraz to nowe drobne państewka, w których otchłani tonie coraz to bardziej władza i potęga monarchy. (Np. uniezależnienie rodu Klemensa

z Ruszczy za Bolesława Wstydliwego. Vol. leg. III. 156, 157). Nie ulega wątpliwości, iż już za wczesnej epoki Piastowskiej z nadaniami pojedynczymi, które uprawniały szczęśliwych obdarzonych nawet: do „wydawania wyroków jak my sami“ do skazywania „*homines suos* na szubienicę lub na oddzielenie członków *(mutilationem membrorum)*“, łączyć się musiały wyjątkowo i wszelkie prawa łowieckie, i że już wtenczas dochody z gonów bobrowych przestawały być wyłącznym monopolem panujących.

Łowy namiętnie wykonywane w XIII. stuleciu, jakkolwiek nie mogły bezpośrednio przyczynić się do wyniszczenia gonów, to przecież ich wpływ pośredni, ciągłe niepokojenie siedlisk zwierza, przedewszystkiem spokój miłującego, musiał się tu odbijać szkodliwie. A któż wówczas z możnych nie polował? Polowali wszyscy, a namiętność ta ogarnęła do tego stopnia nawet najmniej ku temu powołane stany, iż w roku 1267 ogłosił Guidon, legat papiezki, zakaz polowania duchowieństwu z psem i ptakiem. Wyraźny ten zakaz stolicy rzymskiej nie na wiele się jednak przydał, a księża i biskupi dalej trudnili się łowiectwem, utrzymywali psiarnie i sokoły.— Wolności stanów uprzywilejowanych sięgały coraz dalszych granic, aż wreszcie za panowania Władysława Jagiełły ukazało się prawo na zjeździe krakowskim, zapewniające wolność polowania każdemu na własnym gruncie, a surowe kary strzegą granic od napastników.

Od tej chwili rozpoczyna się i szybkim postępuje krokiem wytępienie tak obfitego jeszcze po puszczach zwierza, a specyalnie zatracają się gony bobrowe, pomimo, iż specyalne chronią je prawa. Prawa te były daleko, a puszcza i siedliska bobrów ciemne i niedostępne, zdobycz więc dla każdego łakoma, a w łowiectwie wyuzdana swawola.

Autorowie nasi, piszący o bobrownictwie w Polsce, wymieniają detailicznie rzeki i wody, po nad którymi gony bobrowe znajdować się miały; ten wylicza te rzeki i stawy, ów znowu inne, tak, iż przeczytawszy to wszystko spytać się raczej należy, gdzie bobrów nie było? Były one niezawodnie wszędzie, gdzie było dostatek żeru i gdzie spokojne wody nie psuły bobrom ich zamków misternych. A był dostatek miejscowości takich nad biegiem niemal każdego małego dopływu, nad brzegami niezliczonych jezior i stawów, mogły się więc mnożyć te gryzonie nad wszystkimi rzekami i strumieniami, jakie się mieściły na ziemiach naszej szerokiej ojczyzny. (C. d. n.)

KUROPATWY.

Pan Andrzej odłożył ołówek, zamknął księgę rachunkową i rzekł do gumiennego:

— Na dzisiaj dość! Aha! prawda... jutro piątek. Poszlesz Hrehory dwa wózki żyta do młyna. A teraz — mówił powoli, cedząc zgłoski i namyślając się, czy jeszcze czego w rozporządzeniach gospodarskich nie zapomniał — a teraz możesz odejść.

Gumienny po raz drugi zwrócił się ku drzwiom.

— Aha! jeszcze jedno.. Mój Hrehory, zawołaj mi tu pastucha. Przecież jest w domu?

— Przy podoju był, ale teraz może i poleciał ze strzelbą — mruknął niechętnie gumienny. — Pójdę popatrzeć.

Gumienny zaczął się zwracać ku drzwiom powoli, jakby czekał, czy pan sobie jeszcze czego nie przypomni. Ale pan Andrzej nałożył tymczasem ulubioną stambułkę, wsunął się głębiej w fotel, nogi wyciągnął, cybuch objął oburącz i puszczając gęste kłęby dymu, czekał na przybycie pastucha.

Za chwilę drzwi cicho się otworzyły i w progu stanął pastuch. Pan Andrzej przez parę minut zachował milczenie. Przez ten czas pastuch pociągnął parę razy nosem, poprawił rozburzone, długie, kręcone włosy i przybrał tę nieokreśloną minę, jaką zwyczajnie miewa ten, kto nie wie, czego właściwie ma się spodziewać. Mały jego nos, silnie u spodu zatabaczony, ciekawie zwracał się ku panu, a szare oczka świeciły niespokojnym blaskiem. Była to mina dzięcioła, który usiłuje podpatrzeć ukrytego za korą robaka. Jendruch, gdyż tak nazywał się pastuch, chciał podpatrzeć myśli pana.

— Gdzieś był? — spytał wreszcie pan Andrzej niby chmurnie.

— Przy bydle, proszę wielmożnego pana.

— A czegoś taki zadyszany, jakbyś leciał pół mili?

— A bom chodził patrzeć na koniczynę — odpowiada Jendruch.

— A cóż ciebie koniczyna obchodzi?

— At, proszę wielmożnego pana... pan nie chcą przed czasem strzelać, a tam zające takie szkody robią, że strach! Nic ino gniazda i gniazda... koniczynę co najpiękniejszą pozbijały, że nie daj Boże, nie będzie co i kosić!

— A tyś chodził je straszyć? co? A pewno ze strzelbą? Co... znowu masz strzelbę?

— Przysięgam B gu! nie mam! — mówi pastuch, uderzając się z całej siły w piersi.

— No! to już teraz wiem na pewno, że masz.

— Przysięgam Bogu!

— Nie kłam... wiem, że masz, ale pamiętaj, jak cię z nią kiedy złapię, to ci kości połamię! — Tu pan Andrzej resztę gniewu ukrył w kłębach dymu i tak dalej mówił:

— Na zające jeszcze wielki czas, mamy dziś dopiero 3-go września... do końca miesiąca poczekać jeszcze można. Co tam robią kuropatwy?

— Kuropatwy? Oj, proszę wielmożnego pana, aż się roi. Wielmożny pan w żniwa nie chciał iść, a lisy wybił w zimie, to się tego roku namnożyło, aż strach! Na Przemienieniu jedno stado, piętnaście sztuk — na Możdziechowicy drugie stado, osiem sztuk; było jaj dwanaście, ale dwie młode kurki zjadł krasy kot od tej przeklętej cyganichy, a dwa jaja były czyste. Na Bajdałowem dwadzieścia sztuk, ale to późne, bo stare pierwszych jaj się odrzekły i gnieździły się za drugim nawrotem — te jeszcze szkoda bić — na...

— No, to dobrze! — przerwał pan Andrzej. — Jutro rano... rozumiesz? jutro rano...

— Rozumiem! — odrzekł pastuch, przyczem oczy mu drapieżnie zamigotały.

— Otóż jutro rano wstaniesz i posłuchasz, gdzie będą cięgotały.

— Dobrze, proszę wielmożnego pana.

— Jutro są imieniny pani, musimy mieć zwierzyny kupę. Będą goście!

Jendruch skinął głową na znak, że odczuwa ważność powodów.

— Dziś jeszcze poczyścisz strzelby; moją pojedynkę weźmiesz dla siebie, a swojej pukawki nie bierz, bo kark będzie w robocie!

— Ona i tak zepsuta — rzekł Jendruch, skrobiąc się w głowę.

Pan Andrzej puścił ostatnie przyznanie się mimo uszu i dodał:

— A teraz wynoś się!

— Rozumiem, proszę wielmożnego pana... A kiedy wielmożnego pana zbudzić? — spytał naciskając klamkę.

— Jak się tylko rozwidni.

— W sam raz dobrze — odrzekł z ukontentowaniem Jendruch i zniknął. Drzwi za nim cicho się zamknęły i pan Andrzej pozostał sam pogrążony w myślach o imieninach swojej Rozalki. Gdy się jest ledwo drugi rok mężem i ma się młodą, piękną i dobrą żonę, wtedy imieniny jej są świętem domowem pierwszej wagi, godnem, by obiadowy stół w ten dzień był ubrany w półmisek dziczyzny.

Przy kolacyi pan Andrzej, spoglądając z ukosa na żonę, uśmiechał się, a potem wymówiwszy się zmęczeniem, kazał sobie uścielić łóżko — i począł się rozbierać.

Jendruch tymczasem odczyszczał strzelby, przecierał lufy i napuszczał oliwą zamki. Siedział potem jeszcze przez chwilę na progu stajni, odmawiając pacierz, wreszcie wstał, położył się na tapczanie, zakopał się w słomę, nakrył się świtą, ziewnął i chrapnął mocno. Monotonne sapania krów, uderzenia rogów o żłoby i cichy zgrzyt łańcuchów stanowiły muzykę, która kołysała go do snu.

Pan Andrzej zaś ułożywszy się, wziął gazetę, zerwał opaskę pocztową, rozłożył szeleszczący wielki arkusz i począł czytać. Gazeta... dnia... Przegląd polityczny... potem o podatku gorzelnianym — potem wiadomości z Dahomeju... tu opadły mu ręce, i w jednej chwili znalazł się w krainie sennych marzeń...

Pani Rozalia przechodząc przez pokój cicho, zgasiła świecę.

* * *

Pagórek, który pastuch nazwał Przemienieniem, wyglądał jak wielki wał piasczysty, poprzerywany głębokimi kamienistymi parowami. Oba boki jego były porosłe niskim lasem sosnowym. Wierzch pagórka był płaski i uprawiony, obecnie poprzecinany w pasy żółtymi smugami ścierniska. Miejsca leżące ugorem pokrywały gęsto niskie, drobne sosenki. Wyborne to było siedlisko dla kuropatw. Kamieniste parowy i gęste krzaki ułatwiały im schronienie się przed szponami jastrzębi i lisów, pole ciągnące się grzbietem raczyło je obficie hreczką i innem zbożem, piasek użyczał wybornej kąpieli, której używały przy wschodzie słońca.

Mrok osłaniał jeszcze ziemię i dołem mgły płynęły nad łąkami. Niebo było pogodne, powietrze ciepłe; cisza zalegała pole, las i parowy.

Od wschodu firmament począł powoli rozjaśniać się jakimś łagodnym uśmiechem. Szary mrok rozpływał się w lazurze, od dołu począł się rumienić blask zorzy... Najmniejszy wiatr nie poruszał drzewami i na pagórku panowała nieruchoma cisza.

Nagle w kącie, w którym łan hreczki łączył się z gęstym porostem młodych sosenek, poczęło się coś ruszać. Wyglądało to w cieniu jak szczur; po bliższem jednak przyjrzeniu się można było zobaczyć, że biega to na dwóch nogach. Tajemnicza ta istota wysunęła się na małą polankę, pokrytą drobną, niską trawą, stanęła, wyciągnęła głowę, i cofnęła się znowu w krzaki. Za chwilę pokazała się znowu, a że światło na niebie szybko się wzmagało, poznać już można było wyraźnie, że jest to postać ptaka. Rudawa podkowa błyszczała mu na piersiach; był to samiec, przewodnik stada kuropatw. Ptak wyprostował się i urósł w dwójnasób, wyciągnął głowę, i czyr-ryk, począł wabić. Krzyk ten naśladują myśliwi, cmokając silnie w wyprężoną dłoń, lub pocierając o siebie dwie skorupy ze szczypiec raka. Krzyk powtórzył się raz, drugi, trzeci...

W oddaleniu piętnastu kroków, odpowiedział mu drugi głos podobny, o pięć kroków trzeci, gdzieś o ćwierć mili czwarty...

W całym cichym tym kąciku rozpoczął się ruch jakiś i za chwilę całe stado wybiegło z krzaków. Stary samiec tymczasem oddawał się dalej nawoływaniu i zdawało się, że cały jest zasłuchany w swym spiewie. Gromadka kuropatw skupiła się, ta i owa przysiadła, a potym wszystkie rozłożyły się na białym piasku, i odwracjąc się bokiem do słońca, poczęły kąpać się roskosznie w miałkim pyle, spijając z pobliskich ździebeł trawy, tęczowe krople rosy. Przechylały też do siebie główki, jakby coś sobie mówiły, a z gardzioł samców dobywał się cichy świergot. Była to chwila niezamąconego szczęścia, spędzonego na łonie natury, wśród wolności i swobody.

Tymczasem słońce weszło na niebo.

Równocześnie z kuropatwami zbudził się i Jendruch.

Zobaczywszy blask zorzy przez szczelinę desek, ocknął się, odrzucił szybko świtę, skoczył z tapczanu, wyciągnął ręce, ziewnął, aż ciele na nogi się porwało, przeżegnał się i wyszedł na dwór. Z głową ubraną w źdźbła słomy, i z koszulą rozpiętą na piersiach, stanął na płocie, i chwytając w płuca ranne powietrze, słuchał. Słowa pacierza cicho mu płynęły z ust. Skończył „Ojcze nasz“ i nagle urwał... „Coś krzyknęło“ — mruczał — „ale nie wiedzieć jeszcze co“... „Zdrowaś Maryo“... „O! o! to na Możdziechowicy“... „łaskiś pełna Pan z Tobą...“ „O! to na Przemienieniu, stary samiec...“ „Błogosławionaś Ty...“ „O, to na tem rannem paprzysku co wczora... o tak! całe stado tam, byle kto nie spłoszył“...

* * *

Zaledwo miało czas wygrzewające się w piasku stado kuropatw schronić się pod gałęzie sosen, gdy żółty, angielski legawiec stanął od nich o pięć kroków, gotów do skoku, od którego możeby się i nie powstrzymał, gdyby z tyłu nie zabrzmiał głos pana Andrzeja.

— Waruj... Pluto! do nogi!

Pies kręcąc niechętnie ogonem wrócił do nóg pana, który, ślizgając się ne wrzosach, powoli drapał się w górę.

Z boku lekko w kierpcach wspinał się Jendruch, któremu twarz pałała dziwnym rumieńcem, i oczy rzucały drapieżne spojrzenia. Kłusownik równocześnie z psem poczuł zwierzynę.

O!... ha! — wzdychał pan Andrzej sapiąc i przystając na wielkim płaskim kamieniu — Pluto! do nogi! no proszę! odrazu wpadliśmy na ślad!... patrzcie! i pióra leżą... i ślady parpania.

— Ja zaraz wiedział, że to tu — mówi Jendruch niecierpliwie ściskając strzelbę i przestępując z nogi na nogę. — Poco wielmożny pan brał psa? będzie tylko płoszył, a tak możnaby na miejscu... do siedzących...

— Cicho, uważaj! — przerwał pan Andrzej — pójdziesz w prawo, byś je mógł widzieć, jeśli usięda na stoku. Poszukaj Pluto!

Pies poskoczył naprzód, obwąchał miejsce gdzie kuropatwy leżały, chwycił łapczywie parę pozostałych piór do pyska, i pobiegł w krzaki.

— Stoi! — szepnął Jendruch.

— Pif! — krzyknął pan Andrzej.

Pluto stał jak wryty, spostrzegł stado zbite w gęstą gromadkę pod niskim krzakiem jałowca i bał się poruszyć.

— Pif! — ozwał się drugi raz głos pana Andrzeja.

Pies skoczył i w tejże chwili ozwał się łopot i ostry świst skrzydeł, przecinających powietrze. Stado uniosło się w górę. Głośny okrzyk Jendrucha „O! szkoda!“ zmieszał się z dwoma wystrzałami. Dym zasłonił widok, a kuropatwy, zatoczywszy niedalekie koło, usiadły w bliskim parowie.

Po strzale jedna z nich upadła zaraz na ziemię, druga leciała jeszcze kawałek za uciekającem stadem, i padła potem na wrzosy.

— Aport! — zawołał pan Andrzej.

Pies rzucił się w krzaki. Kuropatwa żyła jeszcze; strzał oderwał jej prawe skrzydło. Umykała pieszo łopocząc po gałęziach. Po krótkiej gonitwie była już w pysku psa, który ją zadusił i przyniósł do pana.

— Lekko bierz! — rzekł pan Andrzej, odbierając od psa kuropatwę. Lekko!... lekko — i uszy jego znalazły się w pozycyi tak wydłużonej, że aż pisnął. Strzepał się potem, oblizał i pobiegł po drugą zdobycz, która już nieruchomo leżała na wrzosach.

— A gdzie reszta? — zapytał pan Andrzej przytraczając kuropatwy do torby.

— Siadły w parowie — mówił rozogniony Jendruch — trzeba je zajść od dołu, to wrócą znowu tutaj.

— Chodźmy!

Za chwilę szli znowu pod górę po dwu stronach parowu. Pies biegł środkiem przeskakując kamienie i węsząc po krzakach. Nagle jakby pociągnięty prądem magnetycznym skręcił w bok i stanął.

— Waruj! — krzyknął pan Andrzej i począł puszczać się w parów. — O dziesięć kroków od psa przystanął, rozglądnął się, badając gdzie najlepiej można strzelić i zawołał: Pif! Pluto skoczył tym razem i para ptaków frunęła z pod kamienia.

Pan Andrzej prawie nie mierząc strzelił, i ptak lecący nieco przodem odrazu spadł na ziemię, staczając się po pochyłości parowu w dół; zmierzył do drugiego, ale ten był już między drzewami. Przecież strzał go dosięgnął, zrywając mu parę piór z pod spodu. W tej chwili od strony Jendrucha ozwał się szum i łopot skrzydeł. To całe stado przerażone wystrzałami zrywało się lecąc znów na wierzch pagórka.

Pan Andrzej podniósł leżącego ptaka.

— Ach! co za śliczny kogut!... Jendruch! chodźno tu!... Gdzież ta bestya polazła?... Ach! to mi sztuka! — i począł ważyć zabitego ptaka w rękach, ująwszy go za końce sinych łapek.

Rzeczywiście ptak był śliczny! Brązowo-rdzawa podkowa odbijała od popielatego pierza na piersiach, koło oczu biegły jasno-pomarańczowe obwódki, podgarle miał różowo ceglaste, dziób niebieskawy, i podobną lecz w popielaty ton wpadającą szyję. Był to stary samiec, naczelnik stada. Musiał już mieć lat kilka, gdyż pióra koło nóg i ogona miały kształt włosów. Padł ugodzony dwoma śrótami w głowę, lewa noga zwisała też strzaskana.

— Dobrze ci tak! — mówił do niego rozpromieniony myśliwy — nie będziesz mi teraz wodził stada światami!

Rzeczywiście teraz sprawa była łatwa, i trzeba było tylko odnaleść stado. Młode kuropatwy zalęknione i pozbawione wodza, który umiał je poprowadzić i pół mili pieszo lub w locie, chroniąc stado przed niebezpieczeństwem, rozbijają się, wyrywają pojedyńczo i wylatują z pod nóg w górę, gdzie je witają niezawodne strzały.

— Siadły w niskich krzakach, ot tam! — raportował Jendruch. — Tylko prędko, proszę wielmożnego pana...

— Głupiś... prędko!... ja płuc na jarmarku nie kupił! — mruczał pan Andrzej, drapiąc się w górę po uścielonych na ziemi szpilkach sosnowych.

Słońce tymczasem poczęło piec na dobre. Pan Andrzej, znalazłszy się znów na pagórku, postanowił odsapnąć gruntowniej nieco. Pot mu oblewał czoło, i powietrze gwałtownie uciekało mu z piersi. Chwilę zatem ocierał się chustką, chłodził się kapeluszem — a potem odetkał szyjkę manierki i rzekł:

— Na trupa!

Drugi łyk przeznaczony był dla Jendrucha. Chłop przymknął oczy i kieliszek okowity zniknął w przepaściach gardła.

Przestraszone kuropatwy wybrały sobie na kryjówkę miejsce jak najgorsze. Na samym grzbiecie góry wśród łanów polnych sterczała kępina krzewia i chwastów. Był to ugor zawalony kamieniami. Na jałowej ziemi porosła drobna tarnina, krzaki karłowatego jałowcu i ostrężyna, splątana z bodiakami i innem zielskiem. Miejsce było wyborne dla schronienia się przed jastrzębiem, ale najgorsze wobec psa i myśliwego, który miał tu wolny strzał na wszystkie strony.

To też rozpoczęła się teraz pukanina.

Kuropatwy rozbiegały się po ugorze, szukając z osobna kryjówki. Pies wystawiał każdą po kolei, zmuszał ją do wylotu — a potem odzywały się strzały. Inne, strwożone, nie wylatywały już na odgłos strzałów, ale wciskały się pod kamienie i grudy, gdzie je z łatwością Pluto wynajdywał.

Wreszcie strzały ucichły. Pan Andrzej liczył zdobycz. Miał dziewięć sztuk przytroczonych do torby, a jednę niósł Jendruch, gdyż zbyt bliski strzał w pół ją rozerwał. Trzy młode umknęły pieszo i poderwały się o jakie sto kroków, i te uniknęły zagłady.

— Jeszcze jednej brakuje — mówił Jendruch, obliczając łupy. Lecz w tej chwili zmierzył się do szarej kuli, leżącej na ziemi. Był on specyalistą w strzelaniu do siedzącej zwierzyny. Miał on na sumieniu niejednego już zająca, wydeptanego w ten sposób bez wiedzy pana. Czego nie dokazał węch psa, to uzupełniły jastrzębie oczy kłusownika. Ostatnia kuropatwa cicho siedziała skulona w bruździe, prawie na czystem polu. Zaledwo parę ździebeł trawy pochylało się nad nią; przysłonięta cieniem bruzdy, myślała, że jej wcale nie widać. Poczuła jednak straszny wzrok na sobie... Poruszyła się niespokojnie, i mrugając wystraszonymi oczyma, przycisnęła się znowu do ziemi z taką rozpaczliwą siłą, jakby się chciała w nią zapaść. W tem ziemia w koło niej zagoto-

wała się od gradu ołowianych kulek. Strzał był bliski, a przecież nie celny. Pocisk poszedł nieco górą, zdzierając pióra z grzbietu i raniąc nieszczęśliwą w glowę. Podleciała w górę i znowu padła na ziemię. Pies i myśliwy poczęli uganiać za swą ofiarą, i dobili...

Była już dziesiąta rano. Słońce piekło i pani zapewne już wstała. Myśliwi wypili jeszcze po kieliszku wódki i ruszyli z powrotem. Pan Andrzej kręcił wąs z zapałem i przygotowywał się z oracyą. Jendruch był uszczęśliwiony ostatnim strzałem. Pluto biegł z wywieszonym językiem naprzód, kręcił radośnie ogonem i przybiegał co chwila do torby pana, obwąchując przytroczoną do niej zwierzynę.

Pani Rozalia tymczasem była trochę niespokojna. Już pół godziny czekała na męża z kawą, i wyszedłszy na ganek, patrzyła w pole. Zobaczyła wreszcie powracających. Różowe paluszki jej przechyliły się w daszek nad modrymi oczyma, słoniąc je przed promieniami słońca.

Pan Andrzej, jak bohater powracający zwycięzko z pola walki, podał jej pęk ptactwa. Pluto przypadł także i sparł się łapami o jej pierś, liżąc ją mimo protestu. Ona z uśmiechem, plamiąc drobne białe paluszki krwią niezakrzepłą jeszcze, spuściła oczy i rozkosznie przytuliła swe ciepłe usta do ust męża...

* * *

Krew i rozkosz, miłość i śmierć — ach, jakże one bliskie...

Następnego poranku cicho było na piaszczystym pagórku. Z innych wzgórzy i jarów dolatywały pienia, witające promienie wschodzącego słońca. Tu panował martwy spokój... stąd zaniosła śmierć daninę miłości. *Jerzy Mrok.*

Próbki oswajania i tresury lisów.

Ongi, kiedy byłem jeszcze młodzieńcem i w zawodzie łowieckim mogłem się nazwać istnym „żółtodzióbem“, obijały się nieraz o uszy moje opowiadania o oswojonych i do tego stopnia ułożonych lisach, że chodziły za nogą swego chlebodawcy i spełniały funkcye wyżła. Opowieści te zapaliły moją wyobraźnię do tego stopnia, że widziałem się już w posiadaniu takiego lisa, co wystawiał przepiórki i kuropatwy, a po zastrzeleniu przynosił mi je do nogi; ba! nawet pływał po stawie i aportował ubite dzikie kaczki.

Później jednak, gdy na polu myśliwstwa zdobyłem już ostrogi, przyjmowałem opowiadania tego rodzaju nieco chłodniej, tembardziej, ile że na zapytanie: kto? gdzie? i kiedy posiadał oswojonego i utresowanego lisa? otrzymywałem w odpowiedzi: „Słyszałem od jednego starego myśliwego, któremu opowiadał jego przyjaciel, iż miał widzieć osobiście tego, który miał mieć takiego lisa“. Mimo tak stanowczego zapewnienia, nie mogłem się pozbyć powątpiewania, ale też nie pozbyłem się także chęci zrobienia próby osobiście.

Przez długi czas chęć pozostała próżną chęcią, bo lisa trudno było dostać. Nareszcie pewnego razu — a było to roku 1884 — wchodzi do kancelaryi moja sługa i mówi:

— Proszę pana jakiś chłop przyniósł młodego liska.

— Gdzie jest? — wrzasnąłem takim głosem, że aż drgnęła.

— A w kuchni.

Pobiegłem do kuchni z takim pośpiechem, jak gdyby się paliło, a spostrzegłszy przy drzwiach stojącego chłopa, krzyknąłem:

— Dawaj tu lisa!

Zamiast pokazania lisa, chłop się uśmiechnął i rzekł:

— A szczo pan dadut?

— Naprzód dawaj, a potem mów co chcesz — powiedziałem zniecierpliwiony i wydobywszy guldena wręczyłem go chłopu, który wyciągał już lisa z koszyka. Dowiedziałem się przytem, że chłop miał lisa u siebie już dwa tygodnie i karmił go chlebem i mlekiem.

Wniosłem lisię, mogące mieć wówczas około cztery tygodnie, do pokoju, a następnie, wszedłszy do kancelaryi, gdzie leżały moje dwa wyżły, zbliżyłem się do nich, trzymając lisię w obu rękach. Skoro lisię psy obaczyło, rzuciło się tak niespodzianie i tak silnie, że mi się z rąk wyśliznęło i pobiegło prosto do wyżłów. które zerwały się z legowiska. Z obawy, aby go nie zadusiły, krzyknąłem: „Nie zaczepiać!“ nie mogąc zarazem pojąć, dlaczego lisię rzuciło się z taką śmiałością między psy. Zdziwienie moje wzmogło się jeszcze bardziej, gdy lisię przyskoczyło do mojego starego wyżła, otworzyło mordkę i z jakimś dziwnym chichotem: „Che-che-che-che“, pchało się pod brzuch jego.

Mimo zakazu: nie zaczepiać! zjeżył wyżeł sierść na grzbiecie i pokazawszy zęby, miał widoczny gust jednym zamachem pochwycić i zdusić zwierza, którego starsze plemię z dawniejszych zapasów znał bardzo dobrze. Widząc jego groźną postawę ponowiłem zakaz, mówiąc podniesionym głosem: „Nie ruszać!“ Teraz byłem już spokojny o lisię, gdyż miałem sposobność przekonać się kilkakrotnie, że wyżeł mój nie przekroczył tego zakazu nawet w tym wypadku, gdy cała hurma psów nań wpadła i czynnie go zaczepiała. Rzeczywiście i tym razem nie tknął lisięcia, tylko przeskakiwał z nogi na nogę, usuwał się przed niem, aż wreszcie, nie mogąc już dłużej wytrzymać, dał susa w górę i przyskoczywszy do mnie, stanął za nogą. Gdy jednak lisię i tu mu spokoju nie dawało, uciekł znowu na swoje legowisko. Chcąc zbadać zamiary lisięcia, kazałem wyżłowi leżeć i teraz dopiero domyśliłem się, iż lisię chce ssać, a w mniemaniu, że to jest jego matka, pcha się pod brzuch wyżła, który był maści żółtawej. Drugi wyżeł był maści kasztanowatej, więc do niego lisię wcale się nie pchało i dopiero później, gdy się przekonało, że mój żółty wyżeł nie był jego matką, rozpoczęło z kasztanowatym wyżłem, mającym mniej niż rok, psią zabawę przewracania się, wzajemnego gryzienia i targania za uszy. Patrząc na to, pomyślałem: Chyba myśliwi nie znają natury lisa, kiedy dotychczas jeszcze go nie oswoili i nie zrobili zeń pożytecznego, domowego zwierzęcia.

Tak mi to wydawało się łatwem, iż nie wątpiłem już wcale, że ja będę tym szczęśliwcem, któremu lis na skinienie będzie posłuszny. Zabrałem się więc z całem poświęceniem i zaparciem się własnej osoby do oswojenia i tresury tego lisięcia. Ale jakże srodze rozczarowałem się po kilku tygodniach! Jestem nawet pewny, iż każdy, kto odczyta poniżej opisane szczegóły mojego z lisem postępowania, przyzna niezawodnie, że oswojenie i tresura lisa, a najbardziej mieszkanie z nim razem, należy do rzędu wielkich poświęceń.

Podczas karesów lisięcia z moim młodym wyżłem, zapukał ktoś z obcych do drzwi, a ja bojąc się, aby mi lis nie umknął, postąpiłem ku drzwiom i będąc już blisko, rzekłem: Proszę! Gdy się drzwi otwarły, spojrzałem za lisem, lecz było już za późno, gdyż tylko oba wyżły zbliżyły się do drzwi i zaczęły obwąchiwać przybysza; lis przepadł bez śladu. Gdzież się podział? Odprawiwszy przybysza, przeszedłem zaraz po wszystkich trzech pokojach, które zamieszkiwałem, lecz mimo najtroskliwszych poszukiwań lisa odnaleść nie zdołałem i zaczynałem już przypuszczać, że pomimo mojej ostrożności i uwagi, wymknął się drzwiami na kurytarz.

Dla upewnienia się w tem przypuszczeniu, przywołałem psy do nogi, a patrząc staremu wyżłowi w oczy, rzekłem: Lisa poszukaj! Oba wyżły rozpoczęły bezzwłocznie poszukiwanie. Czy młodszy wyżeł pojął, czego ma szukać, nie będę twierdził, gdyż do tego czasu, ktedy się to działo, lisa jeszcze nigdy nie widział, ale za starego zaręczam, albowiem znaczenie wyrazów: kot, lis, zając, ptak, świnia, mysz i t. p. rozumiał bardzo dobrze. Przy tem poszukiwaniu przeszły wyżły z jednego pokoju do drugiego, aż w końcu, wbiegłszy do kancelaryi, stanęły, najprzód stary, potem młody, koło pieca w pozycyi przepisanej do wystawiania zwierzyny. Widząc drzwiczki od pieca zamknięte, zwątpiłem o pewności mojego starszego wyżła i rzekłem: Stary, wstydź się, pfuj! tam nie ma nic. Na ten zarzut wciągnął wyżeł nieco silniej powietrze, aż mu się nozdrza rozdęły, a spojrzawszy na mnie, podniósł pompę trochę wyżej, niż przedtem. Teraz byłem już pewny, że on to lepiej wie, niż ja. Przystąpiłem przeto do pieca, a idąc wzrokiem za kierunkiem mordy wyżła, spostrzegłem dopiero teraz małą framużkę, znajdującą się na wysokości pół metra od ziemi między piecem a ścianą. Zbliżywszy się do ściany, zajrzałem do wnętrza framużki i zobaczywszy lisię, sięgnąłem ręką, aby je stamtąd wydobyć. Ale jak prędko rękę wetknąłem, tak jeszcze prędzej ją cofnąłem, gdyż lisię ugryzło mię w palec. Naciągnąwszy tedy na ręce łosiowe rękawiczki, wydobyłem je z ukrycia, prychające z przestrachu. Potem, usiadłszy na krześle, położyłem je na kolanach i zacząłem głaskać, wyżłom zaś kazałem leżeć na miejscu.

Po niejakiej chwili puściłem lisię na ziemię, i spostrzegłem znowu to samo zachowanie się jego, jakie widziałem już w początku. Lisię w podskokach pobiegło do starszego wyżła, i z właściwem mu przymilaniem się „che-che-che“ pchało mu się pod brzuch, a wyżeł, zjeżywszy sierść, wyszczerzył zęby, tak, iż ponownie musiałem go upomnąć, aby go nie ruszał. Z tego pchania się lisięcia pod brzuch wyżła domyśliłem się, że jest głodne i kazałem podać trochę mleka na miseczce. Zaledwie lisię zwietrzyło mleko, przyskoczyło do miseczki i zaczęło chleptać z właściwem kotom mruczeniem, a skończywszy, rozpoczęło na nowo karesy z moim młodszym wyżłem, który odrazu zawarł z niem najściślejszą przyjaźń. Następnie wylazło na leżącego starego wyżła, i zwyczajem małych szczeniąt, targało go za uszy, czego stary wyżeł znieść nie mogąc, zerwał się z legowiska, przybiegł do mnie i schowawszy się za moją nogę, skomlił, dając mi do zrozumienia, abym go uwolnił od towarzystwa zwierzęcia, ku którego rodowi pałał śmiertelną nienawiścią. Pomimo, iż wyżeł mój był dla mnie naówczas jedynem stworzeniem, do którego prawdziwie byłem przywiązany, nie wysłuchałem jego błagania, acz zrozumiałem je bardzo dobrze. Rad nie rad musiałem być dla niego nieubłaganym, bo mi się rozchodziło o gruntowne poznanie natury lisa i jego właściwości. Ażeby wyżła przekonać, że nie może być inaczej, tylko tak, jak chcę, kazałem mu leżeć na swojem miejscu, a gdy i młody wyżeł obok niego się położył, wziąłem lisię w ręce i głaskając, położyłem je między psy, przypominając równocześnie staremu wyżłowi, że nie wolno ruszać. W tem położeniu przetrzymałem lisię z pięć minut a widząc, że zadrzemnęło, oddaliłem się na palcach i przypatrywałem się tej pociesznej grupie może pół godziny. Upewniwszy się ostatecznie, iż chudoba moja spoczywa już na dobre, zacząłem pisać, rzucając od chwili do chwili okiem w stronę wyżłów, aby się przekonać, czyli porządek nie został zakłócony.

Może po godzinie spoczynku, zaczęło lisię ruszać się na nowo i przewalać się z młodszym wyżłem po całej kancelaryi, urządzając pocieszne gonitwy po pokoju i kryjąc się pod krzesła, pod pult do pisania i stół, a potem wypadając raptem i wskakując na wyżła, który leżał na grzbiecie i oczekiwał ataku z otwartym pyskiem i podniesionymi do góry nogami, przygotowanymi do odporu. W tej gonitwie i zapasach lisięcia z młodym wyżłem nie znajdywał stary wyżeł nic godnego widzenia, gdyż zamknąwszy oczy, udawał śpiącego; czasem tylko ciężko westchnął przy akompaniamencie cichego warczenia. Podczas tej zabawy przeskoczyło raz lisię młodego wyżła, a przybiegłszy do starego, wskoczyło na niego i chwyciło go za ucho, tak, iż zaskowytał, i w tym momencie zerwawszy się na nogi, chwycił lisię za pysk, trzepnął niem i odrzucił tak daleko, że lisię potoczyło mi się aż pod nogi; sam zaś, w poczuciu przewinienia, zaczął się czołgać na brzuchu do nóg moich. Porwałem się od stołu, jak gdyby mię kto ukropem polał, a przewróciwszy krzesło i kałamarz z atramentem, pochyliłem się, aby lisię podnieść. Szkoda jednak było mojego pospiechu, bo koło nóg moich już nic nie spostrzegłem; z kocią zwinnością powstało lisię na nogi i skryło się pod szafę z papierami.

Gdym je stamtąd wydobył, zauważyłem, że miało jedno oko całkiem krwią zalane, gdyż jeden ząb wyżła wrył mu się w sam kącik oka, a prócz tego sączyła mu się krew z nosa. Myślałem, że zdechnie, lub co najmniej, oślepnie. Ale gdzież tam! Na drugi dzień rano było zdrowe, jak ryba, tak, iż koło oka pozostał tylko nieznaczny ślad zranienia.

Gdy nadszedł wieczór, obawiałem się, bez względu na to, iż wyżła za przekroczenie zakazu ukarałem, pozostawić lisię pod opieką wyżłów przez całą noc, i z tego powodu, zamknąwszy drzwi od kancelaryi, gdzie spały wyżły, ułożyłem je na sporządzonym sienniczku do spoczynku w moim sypialnym pokoju. Lecz wszelkie usiłowania moje, aby spokojnie leżało, były daremne; nawet u mnie na łóżku pod kołdrą nie chciało spokojnie się zachować, tylko tłumiło się po całem łóżku i po mnie. Nareszcie, zeskoczywszy z łóżka na podłogę, rozpoczęło łazić po wszystkich kątach i drapać się do drzwi, wydając przytem jakiś dziwnie brzmiący głos: „Kut-kut-kut“. Tym lisim koncertem przerywało mi co chwila sen, i dopiero nad ranem, gdy już dnieć zaczęło, uspokoiło się zupełnie.

Wstawszy z pościeli, poszedłem najprzód popatrzeć gdzie lis, ale i tym razem, oprócz pomiotów i mokrych do-

wodów lisiego pobytu, nie znalazłem go nigdzie, i zmuszony byłem zawołać psy do pomocy. Jakoż rzeczywiście wystawiły go koło sofy. Zaglądnąwszy pod sofę i niespostrzegłgo tam, przywołałem sługę, i przy jej pomocy przewróciłem sofę na bok. Ale lisa jak nie było, tak nie było. Zwróciłem się przeto do starego wyżła i rzekłem: No, stary, gdzież jest? Wyżeł zbliżył się do sofy od strony, w którą spód był zwrócony i pokazał nosem. Zaglądnąwszy do wnętrza sofy pomiędzy gurty, na których sprężyny spoczywały, zobaczyłem mykitkę, ukrytego między sprężynami, w położeniu skulonem.

O wydobyciu go stamtąd ręką nie było i mowy, ponieważ otwory między gurtami były małe, a oprócz tego należało przypuszczać, iż tak samo, jak wczoraj, będzie się bronił zębami. Postanowiłem więc wywabić go z tej przygodnej jamy, w jakiej z pewnością żaden lis nie przebywał, w następujący sposób: sam przysiadłem za przewróconą sofą, a słudze kazałem przynieść na miseczce kawałeczek mięsa i postawić na progu we drzwiach, prowadzących do drugiego pokoju. W samej rzeczy okazał się mój pomysł dobrym, gdyż najpóźniej za minutę zaczął się gramolić lis z pomiędzy sprężyn i wylazłszy, poszedł do miseczki, gdzie go przyłapałem.

Wiedząc z doświadczenia, iż każde zwierzę, w miarę, jak człowiek częściej z niem przebywa i obcuje, staje się coraz łaskawsze i rozumniejsze, postanowiłem mimo przykrości, jaką mi lis zachowaniem się swojem dotychczas już sprawił, zatrzymać go w pokojach i wychowywać pod okiem, aby poznać wszelkie jego wady. Przedewszystkiem sprawiłem lisięciu małą obróżkę i ustroiwszy je oną, zacząłem się z niem obchodzić, jak z psem szczenięciem, nie szczędząc mu pieszczot i zabaw, polegających na przewracaniu go na grzbiet i lekkiem pociąganiu za uszy, ogon i nogi. Lisię bawiło się bardzo chętnie. Doprowadziłem nawet do tego, iż skoro położyłem się na sofie lub łóżku, lisię po nieudałych kilku skokach wskakiwało samo na łóżko lub sofę i urządzało gonitwy po mnie, ale tylko tak długo, jak długo spokojnie się zachowywałem. Lada szybszy ruch ręką lub nogą, albo też lekkie stuknięcie w pokoju wprawiało je w straszny popłoch. Z jakiemś, opisać się nie dającem prychaniem darło się na ścienny dywan nad łóżkiem, lub wprost przez nagłówek łóżka rzucało się z góry na łeb, a dopadłszy podłogi, kryło się w mgnieniu oka to pod kufer, to pod szafę, skąd dopiero po chwili wychylało głowę i wychodziło na pokój zwolna, wracając za najmniejszym szelestem napowrót do upatrzonej kryjówki.

Ażeby temu zapobiedz, kazałem pozatykać wszystkie dziury, gdzie tylko lisię wcisnąć się mogło i sądziłem, że musi zaniechać tego zwyczaju, skoro nie będzie miało gdzie się ukryć. Lecz niestety, jeszcze raz zyskałem przekonanie, że lis, chociaż mały, był przecież przebieglejszy, niż ja. Na drugi dzień rano, gdy mu już i kancelaryę do dyspozycyi zostawiłem, wyszukały mi go wyżły w blaszanej 20-litrowej konewce, stojącej w kancelaryi pod stołem. Kazałem natychmiast wynieść konewkę do kuchni, ponieważ zauważałem, że stawał się zaraz dzikszy, skoro tylko przez dłuższy czas siedział w ukryciu, gdzie światło nie miało przystępu. Wszelkie zaś usiłowania w kierunku, aby przepędzał noc razem z psami, doprowadziły jeno do tego, że we dnie przebywał dość chętnie w ich towarzystwie, a nawet na komendę: „na swoje miejsce"! szedł razem z psami i układał się wraz z nimi na ich sienniku, lub też bez ceremonii kładł się na którego bądź wyżła, na co już i stary wyżeł zezwalał — w nocy jednak, skoro światło zgasło, rozpoczynał peregrynacye z pokoju do pokoju i tłukł się nieustannie aż do rana, a z brzaskiem dnia krył się zawsze w jakieś ciemne miejsce. Gdy brakło takich miejsc, wyskoczył na krzesło, a następnie na biurko do pisania i ukrył się we fachu, wyrzuciwszy poprzód papiery stamtąd.

Widząc, że nic nie pomoże, zostawiłem mu do użytku framużkę w kancelaryi koło pieca, gdzie go co rana znajdywałem. Gdy go chciałem przywołać, to gwizdałem nie zbyt głośno, lub też wołałem „Mika" (była to bowiem liszka). Jeżeli to nie skutkowało, brałem w rękę kawałeczek mięsa i zbliżałem się z niem na parę kroków do jego kryjówki, a w pół minuty wystawiał mykita z kryjówki najprzód „czuj", a potem zeskakiwał na podłogę i przybiegłszy do mnie, wspinał się na tylne łapki, domagając się, abym mu co rychlej dał trzymany w ręku kawałeczek mięsa. Gdy to nastąpiło, szedł potem już bez oporu za mną aż do trzeciego pokoju, gdzie się odbywała tresura, rozumie się, nie przy pomocy wyżłów.

Lisię, gdy je dostałem, mogło mieć około czterech tygodni, więc do tresury było jeszcze za młode. Mimo to nauczyło się w stosunkowo bardzo krótkim czasie warować przy miseczce z jadłem dla niego przeznaczonem. Nieco później umiało już skakać przez kij i przez nogę, a nawet kłaniać się. t. j. stawać przez chwilę na tylnych łapach. Do warowania układał się mykitka na sposób wyżła i wytrzymywał dość długo, a na rozkaz: piff! przyskakiwał do miseczki i zaczynał jeść. Przy jedzeniu zachowywał zawsze jednakowy zwyczaj. Jeżeli w miseczce było mleko, to chleptał delikatnie, dopóki nie wypił do dna, ale miseczki nie wylizywał nigdy i w ogóle nie widziałem ani razu, aby cokolwiek lizał; nawet własnej mordy nie oblizał nigdy, tylko zostawiał tę funkcyę do wypełnienia mojemu młodemu wyżłowi. Gdy zaś miseczka była napełniona rosołem i kawałkami mięsa, to zanurzał mordę aż po oczy, wydobywał mięso, gryzł szybko i połykał bardzo zachłannie, mrucząc przytem jak kot, gdy złapie ptaka. Skoro przy jedzeniu usłyszał jaki szelest lub stuknięcie, to chwytał w paszczę tyle, ile się zmieściło i uciekał pod łóżko lub w jaki ciemny kąt, gdzie albo mięso zjadał, albo też chował część w jakąkolwiek szparę, przyciskając z góry mordą, a następnie drapiąc naokoło łapkami, jakoby je ziemią przykrywał. Umiał także, na rozkaz: zaczekaj" przerwać jedzenie i warować dalej, ale wtedy trząsł się z niecierpliwości. Po skończonem jedzeniu rzucał nieraz pomiot w sam środek miseczki, a gdy go za to dwukrotnie ukarałem, załatwiał później tę sprawę w oddaleniu najwięcej pół metra od miseczki i w ogóle we wszystkich pokojach na pierwszem lepszem miejscu, gdzie uczuł tego potrzebę.

Pomimo tego, że już umiał powyżej opisane sztuczki gryzł mię zawsze w rękę wtedy, kiedy mu się nie podobało, abym go głaskał lub brał na ręce; nawet kilkakrotne zrobienie znajomości z harapnikiem nie bardzo go powstrzymywało od tej nawyczki. Z tego powodu przystępywałem do lisa tylko w łosiowych rękawiczkach, które, mimo grubości skóry, z jakiej były sporządzone, nie zawsze uchroniły mię od skaleczenia, ponieważ lis miał zęby bardzo ostre i chwytał paszczą, niby obcęgami. Najbardziej stawał się dziki i rozżarty wtedy, gdy zwietrzył surowe mięso, a jaki miał wiatr, t. j. węch, da wyobrażenie następująca okoliczność.

Razu jednego przyniosłem z kuchni do kancelaryi kawałeczek surowego mięsa i położyłem go na wierzchu szafy z papierami, mającej przeszło dwa metry wysokości; sam zaś wyszedłem napowrót do kuchni, aby obmyć ręce. Gdy następnie, może minutę później, wróciłem do kancelaryi, spostrzegłem, że lis był już przy szafie, ale, spłoszony stu-

kotem moich kroków, umknął do swej kryjówki. Usiadłszy na krześle czekałem spokojnie, co lis będzie dalej robił. Za chwilę wychylił się lis z kryjówki i skoczył na podłogę w zamiarze zbliżenia sie ponownie do szafy, w czem mu jednak przeszkodził młodszy wyżeł, chwyciwszy go za kark, najprawdopodobniej w mniemaniu, że mykitka chce rozpocząć z nim zabawę. Lecz jak prędko go chwycił, tak jeszcze prędzej puścił i skomląc poszedł na swoje miejsce, gdyż lis, z kociem parsknięciem wyrwał mu się z pyska i ugryzł go na prawdę. Po odprawie danej wyżłowi, zbliżył się mykita do szafy, a podniosłszy czuj do góry, obchodził szafę ze wszystkich stron, przekrzywiał głowę i patrzył do góry, spinając się na szafę, jak gdyby chciał wyleść aż na wierzch. Widocznem było, że zwietrzył mięso na szafie.

Wstawszy z krzesła, zbliżyłem się do lisa i chciałem go pogłaskać, ale cofnąłem wyciągniętą rękę bezzwłocznie, gdyż i mnie spotkało to samo, co wyżła. Mimo grubych rękawiczek, ugryzł mię mykita aż do krwi, za co rozumie się ukarany został i zaraz uciekł do swojej kryjówki. Po wyniesieniu mięsa do kuchni, wylazł lis znowu z kryjówki, lecz już tylko przez chwilę wietrzył koło szafy, a potem odszedł i rozpoczął zaraz zabawę z wyżłem.

Pomimo kilkutygodniowego pobytu u mnie i mimo największego starania z mej strony nie oswoił się lis zupełnie; owszem prawie z każdym dniem, o ile stawał się starszym i przebieglejszym, o tyle robił się dzikszym. A jeśli mnie przez 24 godzin w domu nie było, to za powrotem moim do domu, zachowywał się prawie tak, jak zupełnie dziki. Jedynie tylko z psami był na stopie poufałej, ale tylko w dzień. W nocy zaś uciekał zawsze od nich i tłukąc się po wszystkich pokojach rozmyślał, jak się zdaje, nad sposobem ucieczki, gdyż drapał we drzwi, na korytarz prowadzące i kopał wszędzie jamy, gdzie tylko podłoga szczelnie do muru nie przystawała, lub wskakiwał we framugi okien i drapał w szyby. Jeśli go stamt.d usunąłem, to za pół godziny lub godzinę wracał do tej samej roboty i okazywał podziwienia godną wytrwałość a nawet upor w zdążaniu do zamierzonego celu np. dostania się na stół, lub okno. Za każdym razem próbował skoku z innego miejsca, wskakiwał nareszcie na krzesło, mierzył przez chwilę oddalenie okiem znawcy, cofał się wstecz dla nabrania impetu, poczem dopiero skakał i nic sobie z tego nie robił, gdy padł na grzbiet i uderzył łbem o podłogę. Po dziesięciu nieudałych skokach, szykował się do skoku po raz jedynasty z takim samym uporem, jak po raz pierwszy; wreszcie zawsze dostał się tam, gdzie chciał, tak, iż w całem pomieszkaniu nie było już miejsca, gdzieby lis dostać się nie potrafił.

W dzień natomiast, gdy się trochę z psami przedrzemał i gdy mu się sprzykrzyła zabawa z wyżłem, brał się do gryzienia obuwia, dywanika, kapy na łóżku i w ogóle wszystkiego, co tylko dla jego zębów było dostępne, przez co wyrządzał mi szkody. Temu niepohamowanemu pociągowi do gryzienia nie dziwiłem się wcale, wiedząc z doświadczenia, że młode wyżły robią to samo z tą tylko różnicą, iż zadawalają się gryzieniem porzuconych koło ich legowiska lekkich polan z miękkiego drzewa. Mykita atoli nawet porzuconym mu na ten cel starym dywanikiem zadowolić się nie chciał, lecz za każdym razem wybierał co innego. Zapobiedz temu, przychwycić go na gorącym uczynku i ukarać, było rzeczą niepodobną, ponieważ uporał się z tem zawsze niespostrzeżenie, lub wtedy, gdy mię w domu nie było.

Wszystkie te przykrości i mozoły, jakich doznałem przy oswajaniu i tresurze wspomnianego mykity, były jednakże niczem w porównaniu z nieporządkiem i formalnem zapowietrzeniem mojego mieszkania przez często wydzielane suche i mokre pomioty jego. O przyuczeniu go do jakiegokolwiek porządku ani myśleć nie mogłem, ponieważ obawiałem się puścić go wolno na dwór, przekonawszy się wprzód niejednokrotnie, iż wyprowadzenie go na linewce w pole robiło go jeszcze bardziej dzikim. Rzucał się wtedy, jak wściekły, gryzł linewkę i wytężał wszystkie swoje siły, aby się odemnie wyrwać i uciec. Z tego powodu zmuszony byłem trzymać go ciągle w pokoju, a przez cały ten czas panowała w mieszkaniu jakaś gryząco cuchnąca atmosfera, mniej ostra, lecz podobna do tej, jaką tchórz, przy atakowaniu go przez psa, ze siebie wydziela. Jestto woń tak niemiła i dusząca, że chociaż przez dłuższy czas przywykłem do niej, zawsze stawały mi łzy w oczach i czułem chwilowy zawrót głowy, gdy ze świeżego powietrza, po kilkugodzinnej niebytności, wszedłem do mieszkania. Nawet codzienne przewietrzanie izb mieszkalnych i używanie kadzideł nie pomagało.

A jednak mimo to wszystko postanowiłem wytrwać, dopóki nie nabędę niezłomnego przekonania, czy lis da się oswoić i czy pozbędzie się właściwej jego plemieniu drapieżności. A mogłem przedsiębrać te doświadczenia tem śmielej, ileże w owym czasie byłem jeszcze kawalerem w kwiecie wieku, mającym zaledwie skończonych lat czterdzieści.

Gdy lis był już do tego stopnia utresowany, że rozumiał wszystko, czego od niego wymagałem i nie mylił się, zacząłem próbować ostrzelać go i używałem ku temu celowi próżnych łusek na ładunki. Za każdem kłapnięciem kapsli uciekał lis w szalonym popłochu pod łóżko, ale za chwilę wystawiał głowę stamtąd i rekognoskował, a następnie wychodził już śmiało na pokój. Jestem pewny, że nie znał przyczyny trzasku, jaki eksplodująca kapsla sprawiała, ale przekonałem się najdowodniej, iż zapamiętał dobrze okoliczności, jakie temu trzaskaniu towarzyszyły, gdyż uciekał zaraz pod łóżko, jak tylko strzelbę do rąk wziąłem i nie wychodził z pod łóżka, dopóki nie usłyszał, że kapsla już wystrzeliła.

Po wystrzeleniu kapsli wychodził zaraz na izbę, a gdy strzeliłem z drugiej, robił to samo, co poprzednio.

Po takich i tym podobnych próbach zamierzyłem ostatecznie zbadać, czyli mój na pół ucywilizowany mykita ma pojęcie o kunsztach jego dzikich plemienników, lub może, będąc inaczej chowany, wyrzekł się już raz na zawsze drapieżności ród jego cechującej. W tym celu rozkazałem słudze wpuścić do pokoju przez uchylone drzwi od kuchni młode kurczę i zaleciłem jej, aby to zrobiła w tym czasie, kiedy mykitę będę ćwiczył w skakaniu przez kij. Tak się też stało. Spostrzegłszy, że lis przywarował natychmiast, jak tylko kurczę obaczył, ucieszyłem się niezmiernie i myślałem nawet, iż go się przelakł. Nie trwało to jednak długo, a uciecha moja zamieniła się wnet na oburzenie. Zaledwie bowiem kurczę zbliżyło się na takie oddalenie, iż jednym skokiem mógł je dosięgnąć, rzucił się na nie jak kot i porwawszy w pysk, zaczął uciekać. Natychmiastowe podniesionym głosem wyrzucone zawołanie: waruj! nie psuj! nie odniosło żadnego skutku. Dopiero harap, który mu spadł na grzbiet, sprawił, że lis kurczę puścił.

Następne kilkakrotnie jeszcze przedsiębrane próby przekonały mię, że lis na widok kurczęcia świecił ślepiami jak kot, drżał cały z niecierpliwości i ostatecznie nie mógł się powstrzymać od napadu. Mimo to pomyślałem sobie: kiedy już tyle wycierpiałem, to będę cierpiał jeszcze dalej, a może przecież coś z niego zrobię. Jednak naprożno! W kilka dni później lis sam sprowadził dekret śmierci na siebie.

Wróciwszy razu jednego po 48-godzinnej niebytności do domu, znalazłem lisa tak zdziczałego, że nie dozwalał nawet pogłaskać się, ale wiedząc już z doświadczenia, że stawał się zawsze dzikszy, gdy mnie przez kilka godzin nie widział, pocieszałem się nadzieją, że to przeminie. W tym samym dniu, gdy weszła sługa w celu robienia porządku do kancelaryi, usłyszałem za chwilę stuknięcie, jakby przewróconego krzesła, a następnie krzyk: gwałtu! gwałtu! Wbiegłem do kancelaryi i spostrzegłem sługę, stojącą na stole, obok zaś przewrócone krzesło, na które właził lis i szykował się do skoku na stół. Na zapytanie: Co to jest? — odpowiedziała sługa z płaczem, że lis ugryzł ją w nogę, a teraz chce wyskoczyć na stół, aby ją zagryźć. Przystąpiwszy do krzesła krzyknąłem na lisa: Waruj! lecz zamiast uspokojenia, rzucił się lis na mnie, chwycił mnie za nogę powyżej kostki i zaczął mocno targać. Gdy i wołanie: nie psuj! skutku nie odniosło, chwyciłem go za ogon i odrzuciłem od siebie, dziwiąc się niezmiernie, że lis z większą jeszcze wściekłością natarł na mnie po raz drugi. Żałując pantalonów, które już przy pierwszym ataku lisa znacznie ucierpiały, stanąłem na drugie obok stojące krzesło i zawołałem równocześnie na wyżła: Stary! nie daj ruszyć! Chociaż wyżeł nazywał się „Grom“, to mimo to wiedział dobrze, iż wyrazy, „Pan“, „Stary“, „Bohater“ były także jego nazwą i którymkolwiek z tych wyrazów nań zawołałem, nie dał sobie rozkazu powtarzać. Jak piorun wpadł na lisa, a porwawszy za kark podniósł w górę, potelepał nim silnie i odrzucił ku drzwiom kancelaryjnym z taką siłą, iż lis jak piłka uderzył naprzód o drzwi a potem dopiero spadł na podłogę i zaczął się przewalać w konwulsyjnych drganiach. Na ten widok zrobiło mi się trochę żal za moim niesfornym uczniem, ale nie mając już nadziei uratowania go, wydałem psu rozkaz, ażeby z nim skończył. Po tem zajściu zacząłem się zastanawiać na zimno nad powodem tego niezwykłego zachowania się lisa i byłem w obawie, czyli nie popadł rzeczywiście w chorobę wścieklizny, lecz sługa, wzięta w tej sprawie do śledztwa, wyznała, że w czasie mojej niebytności karmiła go surowem mięsem, a ponadto, wchodząc do kancelaryi, miała w kieszonce kaftanika kawałek surowego mięsa. To więc zdaje się był powód, że lis ją zaatakował, jak tylko mięso zwietrzył.

Tak skończył mój pierwszy na pół oswojony i na pół utresowany mykita, przy którego oswajaniu i tresurze nabyłem następującego, niezłomnego przekonania:

Każdego młodego lisa, wziętego z gniazda szczenięciem jeszcze bardzo młodem, można, wychowując go w izbie mieszkalnej, oswoić do tgo stopnia, iż na widok człowieka nie będzie uciekał; również można go nauczyć różnych sztuczek, wchodzących w zakres pokojowej tresury wyżła. Lecz mimo to nie pozbędzie on się nigdy swej drapieżnej natury, a wyprowadzony na wolne powietrze wróci zaraz do wrodzonej jego plemieniu dzikości. Chyba jedno- lub dwudniowe lisie szczenię, oddane do podkarmienia suce, możeby zatraciło wrodzoną płochliwość i we krwi tkwiącą drapieżność.

We dwa lata później przebywałem w innej miejscowości i z kolei po raz drugi wziąłem się do oswojenia i tresury młodego lisięcia, ale, będąc już żonatym, nie mogłem go wziąć do pokojów przez nas zamieszkałych, tylko umieściłem je w przedpokoju, położonym przed kancelaryą, mającą osobny wchód. Nie było w tym przedpokoju żadnych sprzętów, oprócz jednej skrzynki z różnem domowem rupieciem. Do tej skrzynki uwiązałem lisa na łańcuszku i spuszczałem go tylko do jedzenia, ucząc równocześnie warować. Ponieważ nie zbywało mi na tyle czasu, abym ciągle był przy nim i miał go na oku, więc po dwu tygodniach pobytu u mnie był jeszcze dość dziki, lecz mimo to nauczył się dość dobrze warować. Zresztą we wszystkiem innem zachowywał się jota w jotę tak samo, jak ten, którego przed dwoma laty próbowałem oswoić.

Razu jednego, gdym po kilkugodzinnej niebytności do domu powrócił, oznajmiono mi, że lis zdjął obróżę przez głowę, umknął przez otwarte drzwi do ogrodu warzywnego, a stamtąd na pole, gdzie wbiegł w zboże i przepadł. Nadto powiedziała mi żona, że z wyżłem i sługami przeszukała cały kawał pola przypierającego do ogrodu, ale go odszukać nie mogła. Myślałem, iż nie zobaczę się z nim prędzej, aż chyba gdzieś na polowaniu. Ale omyliłem się. Trzeciego dnia po ucieczce przyniosła mi go sługa z sąsiedniego dworku, gdzie go złapano w sieni, gdy w czasie karmienia kur tam się zakradł i jedną z nich zaatakował. Odebrawszy zbiega, uwiązałem go znowu i ścieśniłem obrożę, aby jej ponownie nie zdjął i nie uciekł. Przez tych parę dni, kiedy przebywał na wolności, zdziczał do niepoznania. Skoro ujrzał drzwi otwarte, rwał się na łańcuszku jak wściekły, a widząc niemożność zerwania łańcuszka, chwytał go zębami i gryzł. Gdy go spuściłem, biegł prosto do drzwi wychodowych, drapał je łapami, lub chwytał zębami i gryzł w zamiarze wygryzienia dziury, którąby mógł umknąć. Mimo tej dzikości, kładł się na ziemi przy drzwiach, gdy zawołałem: Waruj! Najprawdopodobniej myślał, iż tak samo jak przy jedzeniu miał po warowaniu wolny przystęp do miseczki, będzie miał wolną drogę do ucieczki. Z tego wnoszę, że lis musi mieć bardzo dobrą pamięć. — Lis ten przebywał u mnie jeszcze może z tydzień. Ale ponieważ co dnia stawał się nieznośniejszym, tak przez swe niespokojne zachowanie się, jakoteż, i piekielny zapach, jakim nietylko przedpokój, ale i kancelaryę napełnił, uznałem za najstosowniejsze skazać go na śmierć.

W tym samym czasie, kiedy ja miałem lisa u siebie, chował również młodego lisa drugi myśliwy pan K. J. i trzymał go na dworze uwiązanego na łańcuszku w budzie, razem z dwoma młodymi gończakami, które w krótkim czasie zawarły z nim przyjaźń. Mimo okazywanej mu uprzejmości ze strony gończaków, zrzekł się lis po kilkomiesięcznym pobycie ich przyjaźni i wyemigrował w pole, nie wróciwszy więcej do swojego chlebodawcy, który mu na deser nawet sroki strzelał. Dopiero w zimie, gdy mu głód dokuczył, wrócił do ludzkich mieszkań, przechadzał się w biały dzień między domami, stawał i przypatrywał się ludziom, a uciekał dopiero wtedy, gdy za nim goniono. I mnie zrobił dwuktrotnie nocną wizytę i zabrał przy tej sposobności siedm kapłonów. Temu nie dziwiłem się bynajmniej, tylko nie mogłem pojąć, jakim sposobem wziął naraz pięć sztuk, bo nie przypuszczam, aby je na miejscu skonsumował, gdyż ze śladów krwi i pierza można było wnioskować, iż jeden, a najwyżej dwa służyły mu do uczty na miejscu zbrodni; resztę musiał pobrać za głowy i unieść na zapas.

Mając te wypadki w pamięci, skłaniam się do przypuszczenia, iż ów lis, o którym wspomina korespondencya z Nowego Miasta, w Nr. 6. *Łowca*, był może jednym z takich zbiegłych wychowanków. Może on tak samo, jak mój pierwszy wychowanek, myślał, iż po dwóch strzałach można już śmiało przypatrywać się, co dalej będzie.

Seweryn Kisielewski.

Zmysł architektoniczny i estetyczny u ptaków.

Znane są rozmaite spostrzeżenia, tyczące się architektonicznych zdolności u ptaków, objawiających się przy budowie i umocowaniu gniazda. Niemniej ciekawą jest skłonność niektórych ptaków do ozdób, co do których niepodobna dociec, aby miały na celu jakiś użytek, jakąś ochronę czy zasłonę przed niebezpieczeństwem, którym przeto przypisać trzeba znaczenie czysto estetyczne, uznać je za wypływ upodobania i poczucia piękna u ptaka.

„Universum", pismo towarzystwa opieki nad zwierzętami w Hesyi, opowiada następujące zdarzenie:

Od lat wielu para szpaków obrała sobie rezydencyę w szopie, należącej do pewnej osady wiejskiej. Ostatniej wiosny samczyk sam jeden powrócił do gniazda. Przez kilka tygodni niefortunny wdowiec był smutny i niespokojny. Krążył nieustannie około pustego gniazda, robił bliższe i dalsze wycieczki w poszukiwaniu samicy, która, niestety, nigdy już nie miała się zjawić w dawnem domostwie. Nakoniec ptak widocznie pogodził się z losem i gotował się wstąpić powtórnie w związki małżeńskie. Wtedy przebudził się w nim nagle instynkt wrodzony szpakom i stanowiący niewątpliwie właściwość tego gatunku. Dla zwabienia samiczek puste swe gniazdo zamienił w artystycznie ubrany kosz kwiatów, które zrabował w sąsiednim ogrodzie. Szpak co dzień zmieniał kwiaty, zastępując zwiędłe nowymi, i girlanda, zdobiąca jego rezydencyą, była zawsze świeża. Idylli tej położył koniec strzał morderczy. Właściciel ogrodu, widząc, iż zabierają mu kwiaty bez ceremonii i podziękowania, zapolował na sentymentalnego ptaka.

Tego rodzaju popędy estetyczne u ptaków, są daleko częstsze w górach Nowej Gwinei i w środkowej Australii. Ptak atłasowym zwany, w lasach, których nie przebiegała stopa ludzka, swobodnie oddaje się upodobaniom artystycznym. Nazwę swą ptak ten zawdzięcza upierzeniu czarnemu z niebieskim odcieniem. Nogi ma czerwone, a skrzydła obramowane jasno niebieską obwódką. Rozpostarte na słońcu mają odbłysk atłasu. Samice mają upierzenie szare na szyi, brunatne i żółte na piersiach, a skrzydła z odcieniem pomarańczowym. Co roku samica w mało dostępnej części lasu wybiera sobie miejsce na willę i zaczyna pracować gorliwie. Bez wielkich trudności w sąsiedztwie zawsze można znaleźć gałązki chrustu, bardzo cienkie i giętkie. Z nich ptak ten układa rodzaj maty ze zręcznością, przynoszącą zaszczyt najzręczniejszemu robotnikowi. Zrównawszy dokładnie chropowatości ziemi, rozściela na niej matę i rozpoczyna budowanie pawilonu. Zajęcie to długie i mozolne. Mały tkacz, przedzierzgnąwszy się w cieślę, z niemałym wysiłkiem odcina dziobem zielone gałązki, zagłębia je w ziemi około maty i łączy następnie w górze, tworząc sklepienie. Po ukończeniu tej roboty zjawia się kwestya ozdobienia całego gmachu. Niezmordowany budowniczy nie uchyla się od dalekich podróży, byleby tylko dostać jak najcenniejsze materyały. Pióra papugi, kawałki niebieskiej i czerwonej tkaniny, sprzedawanej dzikim przez kolonistów angielskich, ozdabiają bramy wejściowe do willi ptaka. Niezwykłą rozmaitością kolorów odznacza się bruk a raczej mozajka, ułożona przed progiem drzwi wiodących do wnętrza. Skrzydła chrabąszczy, skorupy ślimaków, małe białe kamyki, są ułożone w sposób, świadczący niewątpliwie o poczuciu estetycznem

W okolicach gęściej zaludnionych, nabytki cywilizacyi europejskiej są również brane w rachubę przez tego ptaka. Tam zbiera on kawałki szkła, fajansu, żeby ozdabiać tą zdobyczą wejścia do swego domostwa. W tych willach przebywają młodzi małżonkowie aż do czasu, w którym zaczną słać gniazdo.

Trudniej daleko dociec, do jakiego celu służą inne budowy, dokonywane w tych samych stronach przez ptaka zwanego „kapturkiem." Trudno uwierzyć, żeby mały ten ptaszek był w stanie wybudować rotundę z zieleni, mającą metr wysokości. W robocie tej musi brać udział co najmniej całe stado. Gabinet, pełen zieleni, stawiany przez wymienionego poprzednio ptaka, jest starannie wykończonem cackiem, przeznaczonem dla nowożeńców, zaś budynek, o którym mowa, to istny gmach cyklopów. Do tej pory nie zostało wyjaśnione, jakich sposobów używają ci niestrudzeni pracownicy do przeniesienia wcale sporych kamieni, którymi podpierają gałęzie, tworzące ściany budynku. A przecież te podpory umiejętnie rozstawione, podtrzymujące sklepienie z zieleni, bruk tak równo i zręcznie ułożony przed głównem wejściem, nie mogą być dziełem prostego przypadku. Żeby wykonać całość, na to trzeba nietylko architekta z poczuciem artystycznem, lecz niezbędnym jest również dobry inżynier. W ozdobach znać tendencyę poważną, jak przystoi na gmach publiczny. Wprawdzie i ten ptak nie gardzi skorupami muszli, którymi zdobi wejście do pałacu, lecz ozdoby trzymane w stylu surowym, przeładowane są czaszkami i kościotrupami myszy. Przypomina to zwyczaj praktykowany u niektórych ludów w starożytności, polegający na zawieszaniu czaszki zmarłego w sali, gdzie zazwyczaj przyjmowano posiłek.

Ptaki, o których mowa, są niezmiernie ostrożne. Z tego powodu żadnemu z podróżników europejskich nie udało się obserwować zbliska pałaców z zieleni, w chwili, gdy ptaki zbierają się w nich w wielkiej liczbie. Liczne kościotrupy, ułożone przy wejściu, wykluczają przypuszczenie, że gmach cały przeznaczony jest na salę balową lub koncertową. Najprawdopodobniejszem jest mniemanie, iż w tych budynkach majestatycznych i ponurych odbywa się wymiar sprawiedliwości, lub obrady w sprawach obchodzących całe stado.

Podróżnik Beccari odkrył w górach Nowej Gwinei na 1000 metrów nad poziomem morza nieznanego ptaka rajskiego, różniącego się od innych tegoż gatunku skromnością upierzenia. Pod ubogą, nieprzyjemną dla oka powłoką koloru brunatnego, kryje się pierwszej wody artysta — wyborny architekt i ogrodnik zarazem. Nic nie ma ciekawszego, nad obserwowanie tego ptaka podczas roboty. Wyszukuje on sobie najprzód małą gałązkę prostą, mającą około 50 centymetrów wysokości. Gałązka ta, okryta cała starannie mchem, stanowić będzie filar główny dla całej budowy. Następnie ptak zbiera skrzętnie puste wewnątrz łodygi storczyków i ustawia je, opierając wierzchnie końce o filar a dolne o ziemię. Tym sposobem buduje sobie chatę, mającą blisko metr obwodu. Źdźbła różnych traw służą do łatania dziur w dachu i ścianach. Żaden promień słońca i ani jedna kropla deszczu nie wpadają do tego tajemniczego schroniska, do którego prowadzi jedno tylko wejście, umieszczone w głębokiej arkadzie.

Do tej pory śledziliśmy budowniczego, przyjrzyjmy się z kolei, jak poczyna sobie ogrodnik. Brunatny ptak rajski posiada smak estetyczny tak dalece wyrobiony, iż motywa do swych dekoracyj, niezrównanych pod względem gustu i świeżości, czerpie przeważnie ze świata roślinnego. Jedyny ten w swoim rodzaju artysta pośród ptaków zaczyna od tego, iż przed domostwem od strony wejścia kreśli półkole, którego promień wynosi około $1^1/_2$ metra. Całą wybraną przestrzeń pokrywa najpierw mchem zielonym. Na tym kobiercu, ułożonym z największą starannością, układa deseń nieposzlakowanej czystości konturów z owoców garcynii, wielkości jabłka rajskiego, z owoców gardenii, których otwarte szypułki błyszczą ziarnkami koloru złota, małych różowych gron rośliny nieznanej w Europie, z grzybów różnej wielkości i z rozmaitych odcieni kwiatów różowych, roślin nieznanych na naszej półkuli. Ażeby ożywić cokolwiek tę pyszną kolekcyę owoców i kwiatów, ptak rzuca tu i owdzie na kobierzec kilka ślimaków i motyli. Niezmordowany ogrodnik zmienia kwiaty i owoce tak często, że dywan zachowuje ciągle świeży pozór.

Jeśli porównamy te pełne kokieteryi budowy skrzydlatych ogrodników z budami, w których żyją mieszkańcy Australii i Nowej Gwinei, musimy przyznać, że są na ziemi okolice, w których ludzie są dzicy, a ptaki... cywilizowane. *W.*

KORESPONDENCYE.

Skała w sierpniu 1892.

(Tępienie jastrzębi).

Mnogość jastrzębi i w ogóle lotnych drapieżców dziennych w naszych kniejach nakazuje każdemu dobremu myśliwemu, aby je tępił wszelkimi sposobami. I ja poczuwam się do tego obowiązku, a pozwólcie, abym wam opisał, jak to czynię, przyczem z góry oświadczam, że mi to polowanie sprawia wiele przyjemności i zawsze dobrymi rezultatami bywa uwieńczone.

Wszystkie jastrzębie obierają na nocleg pojedyńcze stare drzewa, górujace nad drzewostanem zwartym, zwykle do połowy wysokości rozgałęzienia drzew górujących sięgającym. Siadają one zwykle na grubej gałęzi, nieopodal od pnia.

Polowanie, jakie zamierzam opisać, przedsiębrać można tylko na wiosnę, dopóki drzewa nie są liściem umajone, lub w późnej jesieni a zawsze w jasne noce księżycowe.

Najpomyślniejsze wyniki osiąga się na wiosnę, podczas ciągu jastrzębi. Bardzo często spotyka się wówczas egzemplarze, które w okolicy są rzadkością i tylko w przelocie się zatrzymują. W ten sposób ubiłem już orła gadożera, orła przedniego i kilka orłów stepowych.

W jasne wieczory biorę kilku gajowych, rozstawiamy się równą linią i przechodzimy pewną część lasu, gdzie spodziewać się można nocujących jastrzębi, a więc działy lasu, gdzie się znajdują wyż przytoczone, stare drzewa górujące.

Idąc tak, przepatruje gajowy każde napotkane wyższe drzewo i obchodzi je śmiało, bez obawy, by nie spłoszyć jastrzębia. Nie można jednak zbyt wcześnie z wieczora polowania takiego przedsiębrać, bo ptaki nie są jeszcze dość zaspane i zrywają się. Ktoby obaczył wcześnie z wieczora siedzącego jastrzębia, dobrze zrobi, jeżeli zaczeka, i dopiero w godzinę po zachodzie słońca, po zmroku, z rusznicą po niego się uda; a z pewnością jastrząb da się zejść na drzewie. Nigdy, powtarzam, nigdy nie trafiło mi się, bym jastrzębia o późnym zmroku chodem spłoszył, lub by się nie dał jak najbliżej zejść.

Gdy który z gajowych jastrzębia upatrzy, dla wszelkiej pewności oddala się na kilkadziesiąt kroków i daje sygnał świstem. Odpowiadam mu w ten sam sposób, zbliżając się do niego, i strzelam w jastrzębia jak w pudło.

Nigdy jeszcze wyprawy takiej nie przedsięwziąłem bez skutku, a zabijałem nieraz 3 i 4 jastrzębie jednego wieczora.

Pragnąc pomyślniejszych rezultatów, dobrze jest przed wieczorem obserwować, którędy jastrzębie ciągną. Jestto rzecz łatwa i nie wymagająca specyalnego zajęcia, bo o tej porze cała straż leśna zajęta jest w lesie, potrzeba tylko, by małą uwagę przedmiotowi temu poświęciła.

Dobrze także wyzyskuje się ku temu chwilę przed ciągiem słonek, a nawet jeszcze i podczas ciągu. Będąc dobrze obznajomionym z lasem, można poznać po kierunku, w jakim jastrzębie przed wieczorem ciągnęły, gdzie ich się z nadejściem nocy ma szukać.

Polowanie takie ma także swoje urozmaicenie. Prócz prawdziwej przyjemności spotkania drzemiącego rabusia, którego w dzień nie podobna podejść, lub tylko szczególnym trafem, miewa się jeszcze miłe niespodzianki, bo gdy po strzale spadnie pudło z łomotem na ziemię i bliżej się mu przypatrzymy, poznajemy niejednokrotnie okaz, jakiegośmy w dzień nigdy lub tylko szybujący w obłokach widzieli. Bardzo często spotkać można także stadko gołębi dzikich (przeważnie grzywaczy), te jednak nie siadają nigdy na starych, grubych drzewach, ale przeciwnie w młodszym zwartym lesie, choć zwykle nocują tam, gdzie stare górujące drzewa się znajdują. Niejeden mógł widzieć przed wieczorem gromadne obsiadanie drzew takich przez gołębie. Jestto chwila, w której gołębie wyczekują zmroku obrawszy miejsce noclegowe. Gdy zmrok już zapadnie, spuszczają się gołębie na niższe tuż obok drzewa, i znów je gromadnie obsiadają. Zwłaszcza, gdy na dworze wiatr, deszcz albo śnieg pada, albo też w nocy padać będzie, siadają gołębie na nocleg bardzo gęsto obok siebie, tak, że mi się zdarzało na 2 strzały 7 gołębi ubić, dwa na jeden strzał zawsze, a jednego nigdy. Przeciwnie ma się rzecz z jastrzębiami; nie zdarzyło mi się zastać dwa jastrzębie na jednem drzewie. Dopiero o kilkadziesiąt kroków bardzo często spotykałem dru-

giego jastrzębia, a po strzale do pierwszego, drugi nie zleciał i mógł być także strzelany.

Że przy tem polowaniu nie potrzeba być bardzo biegłym w nastawianiu rusznicy, by takiego drzemlucha spuścić, więcej niż pewna; jednakowoż należy pamiętać o tem, że to noc i nie spieszyć się ze strzałem, bo chybiony strzał do siedzącego jastrzębia byłby samemu sobie nie do darowania.

Ktoby nie znał polowania tego rodzaju niech spróbuje, a upewniam, że co każdej wiosny uprawiać go będzie.

A. G.

KRONIKA.

Redakcya „Łowca“ przydłuża do końca września przyjmowanie prenumeraty na **kalendarz łowiecko-rybacki i leśniczy na rok 1893.** Kalendarz ten, w formacie kieszonkowym, ozdobnie oprawny i zaopatrzony w urządzoną odpowiednio część notatkową na prowadzenie dziennika łowieckiego i lasowego, zawierać będzie, jak zwykle, bogatą treść statystyczną, informacyjną i literacką.

Cena w prenumeracie do końca września 1 zł. wa. Prenumeratorowie otrzymają kalendarz franco.

Prenumeratę na kalendarz przyjmuje również Magazyn broni A. Dzikowskiego we Lwowie.

Upraszamy jeszcze raz te Towarzystwa łowieckie, które nam dotychczas dat swych statystycznych nie nadesłały, aby to **najpóźniej do 15. września** br. uczyniły, gdyż inaczej musiałyby być w wykazach naszych w kalendarzu pominięte. Przypominamy, iż potrzebne nam są: data zawiązania towarzystwa, cel i organizacya, liczba członków, teraźniejszy skład zarządu (imiennie, pismem wyraźnem), opis terytoryum łowieckiego, zarządzenia tyczące się ochrony i hodowli zwierząt łownych, oraz wynik gremialnych polowań ostatniego roku.

Niedźwiedź odfotografowany. Pocieszną historyjkę o niedźwiedziu donoszą z Madonna di Campiglio. Pewne towarzystwo z dziesięciu osób złożone, udało się do pobliskiej Valsinelli na wycieczkę i tam usłyszano, że rankiem tegoż dnia dał się widzieć w pobliżu stary niedźwiedź. Naturalnie słuchaczy przejęła nasamprzód zdumieniem wiadomość o tak niezwykłym gościu, następnie zaś ciekawość i gorące życzenie, aby można tego niedźwiedzia gdzie z bezpiecznego miejsca, a z bliska obaczyć. Lecz mądry mysio snać nie dowierzał platonicznej ciekawości wycieczkowców i nie ukazał im się wcale. Dla rozrywki towarzystwo kazało się odfotografować w grupie, co było łatwem do wykonania, gdyż w miejscowości rzeczonej bawił właśnie jakiś fotograf. Po poddaniu płyty wszelkim potrzebnym procedurom, ukazało się wreszcie zdjęcie i oto, ku niemałemu zdziwieniu wszystkich, ujrzano na tle fotografii wybornie odbitą sylwetkę... niedźwiedzia. Aparat pochwycił go w chwili, gdy snać wypłoszony ze swego ukrycia wrzawą w pobliżu, ruszył flegmatycznie do odwrotu i wśród niego obejrzał się na grupę wycieczkowców. Podobno fotograf nie może obecnie nastarczyć odbitek tej grupy, tak mnóstwo zamówień otrzymał zewsząd dzięki niedźwiedziowi.

Wilki na Kapitolu. Rada municypalna w Rzymie utrzymuje po dziś dzień na pamiątkę Romulusa i Remusa parę wilków kosztem gminy na Kapitolu. Niedawno temu padła wilczyca, czem zasmucony małżonek przeraźliwem wyciem uprzyjemniał noce swym sąsiadom. Spiesznie więc ojcowie wiecznego miasta postarali się dla niego o nową towarzyskę i — spokój zapanował na Kapitolu.

Wypadki w menażeryach mnożą się przerażająco i powinny już były dotychczas wywołać jakiś kategoryczny przepis ze strony władz policyjnych co do produkcyj t. z. pogromców i pogromczyń. Niedawno doniesiono z Odessy o wypadku takim w bawiącej tam menażeryi Kleberga. Żona właściciela menażeryi, osoba 28-letnia, weszła do klatki mieszczącej 3 lwy i tygrysa. Podłoga w klatce była wilgotna, pogromczyni poślizgnęła się i upadła na twarz. W tej chwili poskoczył tygrys, chwycił pogromczynię za warkocz i na karku jej ukazała się krew... Wśród widzów powstała niesłychana panika. Lwy wszakże, chociaż ujrzały krew, nie rzuciły się na ofiarę, lecz siedziały spokojnie, przytulone do ścian klatki. Służący, który stał koło klatki, spostrzegłszy niebezpieczeństwo, począł strzelać z rewolweru ślepymi ładunkami do tygrysa, który dopiero po czwartym strzale puścił omdlałą pogromczynię. Wyniesiono ją natychmiast z klatki i zrobiono opatrunek; na szczęście rana nie była ciężka.

Deszcz rybny. Kierownik stacyi meteorologicznej w Bjelinie (Bośnia) donosi do *Bosnische Post* o następującem zjawisku: „W nocy z dnia 22. na 23. lipca o godzinie 4. nad ranem szalała nad Bjeliną ogromna burza z grzmotami i piorunami, trwająca przeszło dwie godziny. Wraz z silnym deszczem spadło na ziemię dużo małych, żyjących rybek, które nazajutrz wyławiały dzieci na ulicy i w rynsztokach. Ja sam, ku największemu memu zdziwieniu, znalazłem w deszczomierzu stacyjnym dwie żywe rybki. Podobne zjawisko spostrzeżono w wielu miejscowościach okolicy. Wieśniacy znajdowali rybki na łąkach, polach, ulicach i drogach. Po dokładnem sprawdzeniu, przekonałem się, że wszystkie znalezione rybki należą do jednego gatunku i są najbardziej podobnie do płotek“.

Przyczyną tego zjawiska, zresztą nie nowego, jest niewątpliwie trąba wodna, która gdzieś z jeziora lub rzeki uniosła rybki w powietrze.

Sletery, czyli **ski,** znane trzewiki skandynawskie do śniegu, używane w wycieczkach łowieckich wśród gór, doczekały się ubiegłej zimy w Alpach prób, o ile mogą być przez służbę leśną do służbowych wycieczek przez wysokie śniegi używane. Czyniono te próby w Mürzzuschlag, a oto niektóre daty ze spostrzeżeń, które poczyniono.

Sletery, których do prób używano, były zrobione z łupanego drzewa jasionowego, na 2·4 metrów długie, 7 do 10 centym. szerokie a w środku do 3 centym. grube. Jako podpory przy chodzeniu, a względnie ślizganiu się na sleterach, używano zwykłego, niezbyt ciężkiego kija górskiego, ostro kutego, z krążkiem drewnianym o średnicy 20 ctm. który na $^1/_4$ metra od dołu na kiju mocno jest utwierdzony.

Młody praktykant leśnictwa, wybrawszy się z takimi przyrządami przez góry, strome zbocza i jary, po śniegu na metr wysokim, do miejscowości o 560 metrów wyżej położonej, odbył 8 kilometrów drogi w ciągu 2 godzin, tj. w takim czasie, jakiego potrzeba, ażeby przy najlepszej drodze w lecie tę samą drogę odbyć. Dodać trzeba, że śnieg był świeżo spadły, rzadki i łatwo w nim się zapadało. Dalszą drogę 3·2-kilometrową do miejscowości jeszcze o 400 metrów wyżej leżącej, po zboczach bardzo stromych, przebył ten sam młodzieniec tam i nazad w ciągu $2^1/_2$ godzin, poczem wrócił do miejsca zamieszkania. Cała wycieczka zatem trwała wraz ze spoczynkiem $6^1/_2$ godzin, a była odbytą zaledwo po 12-dniowem uczeniu się w użyciu sleterów. W innym wypadku przebyło trzech leśnych bardzo stromą partyę na sleterach w przeciągu ośmiu godzin, na którą zwykły pieszak w lecie $9^3/_4$ godzin potrzebuje.

Dalszą próbę robił już mężczyzna niemłody, liczący 55 lat a ważący 93 kilogramów i po krótkich ćwiczeniach zdołał również, bez większego umęczenia niż w lecie przy wycieczkach w góry, w tymże samym czasie dość znaczne przestrzenie przebyć. Najwięcej wprawy i odwagi wymaga spuszczanie się po stromych zboczach, są jednak i tacy, którzy całą taką drogę bezpiecznie i bez kija odbywają. W takim razie hamuje się jazdę z góry i zatrzymuje się przez nagłe, poprzeczne rozstawienie sleterów.

Przy poruszaniu nóg należy przestrzegać, ażeby je ile możności zeroko rozstawiać i starać się utrzymać sletery równolegle do siebie. Kroki stawia się wolno, a jak można najdłuższe, nie podnosząc nóg wcale, lecz sunąc nimi po śniegu. Rozumie się, że posunięcie takie po powierzchni śliskiej nadaje krokowi jeszcze większą długość, tak, iż przy pewnej wprawie jeden krok posuwa idącego do półtora do trzech metrów naprzód. Spuszczając się z góry, trzeba nogi trzymać mocno przy sobie, tak, że sletery tworzą prawie jedną podstawę. Przy stromych stokach należy zjeżdżać linią wężową. Kij do hamowania trzyma się ku tyłowi, a hamuje się przez lżejsze lub mocniejsze wciśnięcie krążka w śnieg. Zwykłe drogi i przesmyki należy mijać, a najbezpieczniej puszczać się przez gładkie powierzchnie śniegu. Przymocowanie nogi do sletera musi być bardzo wolne, tak, iżby przy ewentualnym upadku noga w rzemykach przywiązujących mogła się obrócić. W razie, gdy się sleterów nie używa, można je bez trudu wlec za sobą po śniegu...

Że i w naszych Karpatach coś podobnego kłusownicy już wynaleźli i do swych wycieczek używają, świadczy zamieszczona w N. 7. „Łowca" korespondencya z Nawojowej. Wartoby było owe „łazidła" bliżej zbadać, a ulepszywszy ich konstrukcyę spróbować, czy nie nadawałyby się także legalnym myśliwym przy łowieckich wycieczkach w góry i dla służby leśnej przy obchodzeniu lasów.

O niezwykle zmyślnym psie donoszą dzienniki londyńskie. Jeden z kamieniczników miejscowych ma psa, którego nauczył, oprócz wielu innych czynności, wrzucania listów do skrzynek pocztowych. Pies zawsze bardzo skrupulatnie wypełniał rozkazy swego pana. Przed niedawnym czasem przybiegł on do skrzynki pocztowej, trzymając ostrożnie list w zębach; zbliżywszy się do skrzynki, spostrzegł odchodzącego urzędnika pocztowego, który wyjął właśnie wszystkie listy. Pies pobiegł za nim pędem, wsunął mu list do ręki, poczem zadowolony z dopełnienia swego obowiązku, powrócił do domu.

Obława na dziki. Z powodu licznych zażaleń, że dziki wyrządzają w powiecie tureckim znaczne szkody, zarządziło tamtejsze starostwo z końcem zeszłego i początkiem bieżącego miesiąca kilkakrotną obławę, podczas której zastrzelono 6 dzików, a między tymi ogromnego odyńca, ważącego 4 cetnary, a mogącego mieć 14 do 16 lat i jedną lochę.

Rekin w zatoce Rjeki. Z Rjeki donoszą, że w zatoce tamtejszej dnia 22. sierpnia złapali rybacy z Beski rekina, długiego na półtora metra.

Pojedyncze numera „Łowca" nabyć można po cenie 50 ct. w. a. za numer w handlu broni p. Alfreda Dzikowskiego we Lwowie ulica Karola Ludwika L. 1.

Sekretarz i Skarbnik gal. Towarzystwa łowieckiego **Władysław Zontak** ulica Teatralna 18.

Wydawca i odpowiedzialny redaktor **Juliusz Starkel** plac Halicki 10.

Z drukarni Pillera i Sp. we Lwowie.